



№ 39.

Prenumerata w Warszawie:
rocznie rs. 8, półrocznie rs. 4, kwartalnie rs. 2,
miesięcznie kop. 67 i pół.

Warszawa, 26 września 1868 r.

Prenumerata na prowincyi i w ce-
sarstwie w osobnych kopertach:
kwartalnie rs. 3 1/2.

TOM II.

Treść numeru. Aleksander Zdanowicz (z drzeworytem). — Krenika tygodniowa. — Przegląd polityki zagranicznej. — Kalisz (z trzema drzeworytami). — Pomniki Cellarych (drzeworyt). — Najnowsze odkrycia wynalazki i spostrzeżenia naukowe. — Korespondencya Tygodnika Ilustrowanego ze Lwowa. — Smutna (wiersz). — Silni i słabi powieść (dalszy ciąg). — Rysunki humorystyczne Kostrzewskiego (drzew.) — Szachy. — Rebus. — Rozmaitości — Nieśmiały, komedia w jednym akcie, według Edwarda Paillerona: Mur mitoyen, ułożył wierszem Kaźmirz Kaszewski (dalszy ciąg). — Dodatek nadzwyczajny: Pierścień Amazysa, powieść przez Owena Meredith'a (dalszy ciąg).

Aleksander Zdanowicz.

Dnia 31 maja roku bieżącego zakończył życie w Wilnie Aleksander Zdanowicz.

Zmarły, wyznajemy to szczerze, nie odznaczał się żadną genialnością, nie torował nowych dróg w nauce, ani w życiu społecznym; praca wreszcie sama, jaką się w społeczności zajmował, należy do tego rodzaju zatrudnień, o których jeśli nie z lekceważeniem, to przynajmniej z apatyczną obojętnością mówić dzisiaj się zwykło: był pedagogiem... A tylu tych biednych pracowników przesuwa się dokoła nas w życiu, potracamy ich, witamy i żegnamy obojętnie; bo w oczach świata są to ludzie mali, którzy czemś innym, niby lepszym, zostać nie mogli i na drabinę wyższej hierarchii społecznej wznieść się nie byli zdolni...

Zywoć śp. Zdanowicza przekonywa jednak każdego, że powołanie nauczycielskie może być okolone najwyższym poszanowaniem; potrzebne są tylko do tego pewne warunki, które znać nieczęsto się spotykają u pedagogów naszych, skoro tak mało z nich wyrabia sobie imię rozgłośniejsze. Przekonywa też żywoć zmarłego, że pedagogzy myślą się bardzo, gdy za warunek podniesienia oświaty, uważają materialne zabezpieczenie bytu nauczyciela, sądząc że „reszta,“ t. j. strona moralna, „będzie mu przydana.“ Patrząc na życie Zdanowicza, wnosićby raczej potrzeba wprost przeciwnie.

Śp. Zdanowicz przez większą część trwania zawodu swego jako nauczyciel publiczny, pobiierał tylko 400 rs. płacy, bo dopiero w ostatnich latach 650, a jednak mało kto taki jak on wpływ u nas wywierał i takię używał popularności.

Cheąc przeto odpowiedzieć na powyższe pytanie o wziętości śp. Zdanowicza, przebiegnijmy choć pokrótce życie jego i wskaźmy na te wpływy i okoli-

czności, pod jakimi się rozwijał, żebyśmy następnie dostrzedz mogli, jak się wśród nich uwydatniła samodzielność tego człowieka.

publicznej sześcioklasowej, we wsi Lady położonej, o kilka mil od miasta powiatowego Ihumenia odległej.



Aleksander Zdanowicz. (Podług fotografii Przywalskiego w Wilnie).

Aleksander Zdanowicz urodził się w r. 1808 w gubernii mińskiej, w powiecie ihumeńskim, z ubogiej miejscowej szlachty. W r. 1819 udał się do szkoły

Sam Zdanowicz, w swojej notatce autobiograficznej, dosadnie maluje obraz szkoły do której uczęszczał. „Obszar wiadomości przezemnie nabyty w Ladach, powiada on, był tak ubogi, że żadnego języka nie umiałem, bo rosyjski i francuzki dawane były po jednej godzinie na tydzień; ztąd też uczniowie w tych językach czytać nie umieli. Oniemieckim i wzmianki nie było w szkole. Z historyi powszechnej wykładano tylko starożytną, i to częsć jej początkową, t. j. bajki o Assyryi, Babilonii, Medyi, Persyi i Egipcie; z greckiej tylko umieli, ile z Korneliusza Neposa przy tłumaczeniu jego żywota nauczyć się było można; rzymska historia, prócz Romulusa, Remusa i ich karmielki wilczycy, całkiem była nieznaną; o istnieniu historyi średnich i nowych wieków literalnie nieśmy nie słyszeli. Geografia i nauki matematyczne w niemniej oplakany były stanie. Słowem, niewiele szkoła ta wpływać mogła na rozwinięcie i zbogacenie umysłu młodzieży, już dla braku pomocy naukowych, jakoto: map, biblioteki i narzędzi fizycznych, już dla braku potrzebnej liczby nauczycieli, odpowiednio do swego powołania usposobionych. I tak np. na wszystkie cztery klasy wyższe byli tylko dwaj profesorowie: jeden do nauk matematyczno-fizycznych, drugi do wymowy, łaciny, tudzież języków rosyjskiego i francuzkiego.“

Oczywiście, że taka niespojna, rozstrzelona, a w dodatku rutynicznie traktowana nauka, dla umysłów pospolitych stać się mogła zgubną i uniemożliwić ściśle naukowe kształcenie się; w Zdanowiczu jednak, po sześcioltnim pobycie w Ladach, obudziła tylko samodzielne zastanawianie się nad temi szczerbami, jakie przewodniczy jego w naukach zosta-

wili. Od r. 1825 poczyną sam nad sobą pracować, tak że drogę jego rozwijania się umysłowego prawie samouctwem nazwać można. Smutny przeto stan szkoły, tak niekorzystny dla innych, w Zdanowiczu obudził tę żywotną stronę, która stanowczy wpływ wywrzeć miała na całe jego życie. Dwa lata, od r. 1825 do 1827, starczyły na to, że dzieckiem nierozwiniętym wyszedłszy ze szkół, w r. 1827 przyjechał do Wilna, jako dojrzały umysłowo i należycie do słuchania kursów uniwersyteckich przysposobiony młodzieniec.

Samodzielna praca, raz w nim obudzona, nie ustawała przez całe życie i dozwoliła mu, gdy się zapisał na wydział literackim zwany, uzupełniać wykład profesorów przez studyowanie dzieł naukowych, w znakomitej bibliotece uniwersyteckiej znajdujących się. Obok tych pracowitych studyów wydał pierwsze dzieło swoje, Wypisy francuzkie (w r. 1830); honorarium za tę pracę, 60 rs. wynoszące, pozostawiło go w możności skończenia uniwersytetu, ze stopniem kandydata. W kilka lat potem, po przeniesieniu uniwersytetu do Kijowa, uorganizowano natomiast w Wilnie Instytut szlachecki, rodzaj liceum, z wykładem wyższym nad zwykły kurs gimnazjalny. Zdanowicz w r. 1834 wszedł do niego w charakterze nauczyciela języka i literatury łacińskiej i pozostawał w nim w ciągu 29-letniego istnienia tego zakładu, przez lat 15 jako nauczyciel literatury łacińskiej, a potem jako historyk przez lat czternaście.

Trudno nam wydać sąd sumienny o pracy jego nauczycielskiej w Instytucie szlacheckim. To tylko pewna, że s. p. Zdanowicz od najpierwszych lat zawodu publicznego zwracał na siebie uwagę przez dziwnie sumienne pełnienie obowiązków, połączone z wysokim taktem pedagogicznym i umiejętnym traktowaniem przedmiotu. Suchą naukę umiał ożywić ciepłem uczucia swojego i w wyższej moralności, zaszczerpianej w młodzieży, widział zawsze konieczny obowiązek pedagoga w społeczności.

Wszakże w działalności tej w szkole męskiej, jakoteż we wzorowym instytucie rządowym żeńskim, w kilku główniejszych pensjach prywatnych, oraz w dycezyjalnym seminaryum wileńskim, w których wykładał historią, jak również we współpracownictwie nad słownikiem wileńskim M. Orgelbrandta i w redakcji Kuryera wileńskiego, zarysował się tylko znoyny, pracowity żywot człowieka, który z godnością pełnił liczne obowiązki swoje. Tajemnica wziętości i zasługi s. p. Zdanowicza, według naszego zdania, leżała gdzieindziej. Powiedzieliśmy, że jeszcze przed rozpoczęciem studyów akademickich wyrobił sobie samodzielny pogląd na naukę i na potrzebę lepszego jej wykładu, że niezależnie od postronnych wpływów na uniwersytecie, sam się rozwinął w tym kierunku; i w pedagogicznym tedy zawodzie wyrobił sobie wyraziste tej samodzielności cechy, które zapragnął w życie wprowadzić. A gdy nie tak łatwo mógł zastosować pomysły swoje w uczelniach, gdzie kilkanaście naraz osób z najróżnorodniejszym usposobieniem działa, przeto ideał swój pedagogiczny urzeczywistniał na lekcjach prywatnych. W nich tylko Zdanowicz przedstawia się kim był i co zrobił, w nich leży i główna zasługa jego i cała tajemnica wielkiego wpływu jaki wywierał. Przekonanym będąc, że młodzież męzka nietylko potrzebowała opieki i doświadczenia jego, gdy wyższe zakłady naukowe dla wszystkich, a dla bogatszych i zagraniczne stały otworem, wyjątkowo tylko dawał jej wskazówki, jak ma sobie radzić w pracy umysłowej; widział natomiast, że w owych okolicach nigdzie nie było wyższej uczelni żeńskiej, potrzeba której jak wszędzie, tak i u nas uczuwać się dawała. Cały się tedy poświęcił wychowaniu młodzieży żeńskiej, w dwojakim zakresie przeprowadzając naukę: już jako elementarne zasady, już jako wykończenie i zaokrąglenie wiedzy, koniecznej dla umysłu wyższego. W tym ostatnim celu obszernie traktował nauki: geografiją, historią i jej gałęzie, estetykę, literaturę, a wreszcie tak zwany przez niego „Przegląd systematyczny całego obszaru wiedzy ludzkiej.“ Będąc niczem więcej jak tylko encyklopedyą nauk, „Przegląd systematyczny“ dawał Zdanowiczowi piękne pole do rozwinięcia umysłu kobiet. Talent też jego pedagogiczny, po historii, miał tu najswobodniejszy polot i żywotne zastosowanie, rozszerzał się bowiem nad naukami, które za najbardziej potrzebne uważał (jak np.

dla przyszłych nauczycielek nad dydaktyką, metodyką, higieną i t. d.), a w ogólności, w wysokim stopniu posiadając sztukę wtajemniczenia się w umysły młodzieży i przemawiania do niej odpowiednim językiem, był tutaj w całym znaczeniu tego wyrazu pedagogiem, obudzić umiejącym zamiłowanie do nauki. Sam pod tym względem tak się odzywał o ludziach zamiłowania tego nie mających: „Lękają się oni tego czego nie znają, i właśnie dlatego że nie znają; podobni w tym razie do osób, które napojone z dzieciństwa przesądami o istnieniu strachów i upiórów, nie śmiają bez światła wchodzić do ciemnego pokoju. Potrzeba tym lęklivym wnieść światło do głowy, światło tej właśnie nauki, której się obawiają, a tak znikną im z przed oczu urojone widma i strachy.“

Wistocie, widma ciemnoty i przesady nieuctwa coraz bardziej zaczęły ustępować z przed oczu młodzieży żeńskiej, dzięki dwudziestokilkoletniemu dzierzeniu pochodni światła w umiejętnym ręku Zdanowicza. I jeżeliśmy nieraz spotykali objawy wyższości umysłowej kobiet, jeżeliśmy widzieli coraz większe zamiłowanie do nauki, do czytania książek, do prac literackich nawet, to w znacznej części jest owocem skromnych na pozór, a tak donośnych w gruncie trudów zacnego pedagoga.

Postępy uczennic jego wistocie były zadziwiające. Improwizowaną uczelnię otaczała aureola jakiejś uroczystości; młodzież z bijącym sercem oczekiwała ukochanego profesora, a skoro się zjawił, wszyscy przybieżeli wyraz niezwykłej powagi. Żaden wyskok swawoli, żadna pustota wieku dziecinnego nie przerywała uroczystej ciszy, wśród której jego tylko, pełne prostoty, wdzięku i trafności rozlegały się słowa. Prostota i serdeczność — to dwa przymioty, których się nigdy nie pozbywał. Zdanowicz nigdy się nie ubierał w szatę pedanterii; owszem lekcję rozpoczynał najpospoliciej od poufnej rozmowy i zręcznie przechodząc od jednej myśli do drugiej, nieznacznie podnosił umysł słuchaczy i usposabiał ich do tej powagi i rozwagi, jakiej wymagał obraz kręślić się mających dziejów. Zdanowicz może nie miał wszystkich przymiotów od mówcy wymaganych, ale zato był ideałem wymowy pedagoga: dykcja jego prosta, jasna, ozdobiona najszcześliwszemi i najdobitniej rzecz malującymi porównaniami, trafiała nietylko do umysłu, ale do wyobraźni i do serca młodocianego.

Dzieła jego elementarne drukiem ogłoszone, oraz kilka dotąd niewydanych, są streszczeniem lekcji, które jako dodatek do zasadniczej myśli swojej, do wykładu ustnego, niósł zwykle uczniom swoim na ówiartkach papieru. Tak powstały, oprócz słownika, elementarza i wypisów francuzkich, następne jeszcze dzieła: *Tablice regularnych konjugacyj łacińskich* (1837); *Tablica etnograficzna* podług metody Jaźwińskiego (1845); *Rys chronologiczno-historyczny państw nowożytnych* (1844, wydanie drugie 1853, trzecie 1861); *Objaśnienie chronol. tablicy* (1831); *Historja powszechna* krótko zebrana (3 t. 1845); *Historja wieków średnich* (1845); *Historja nowych wieków* (1846); *Szkic historyi polskiej* dla dzieci (1857, drugie wydanie 1859, trzecie 1862); *Szkic historyi powszechnej* (2 tomy 1861); *Historja powszechna* dla szkolnej młodzieży (1861) i nakoniec oddzielnie drukowana obszerna recenzja dzieła J. Kremera „Wykład systematyczny filozofii“ (1854). Oprócz powyższych dzieł, pozostało jeszcze po zmarłym siedem prac naukowych treści, dotąd drukiem nieogłoszonych.

Nie wdając się tutaj w rozbiór tych dzieł, wolimy raczej powtórzyć jego własne o nich zdanie: „Kaźda elementarna książka (powiada Zdanowicz w notatce autobiograficznej), z rąk nauczycielskich wychodząca a sumiennie opracowana, nosi na sobie piętno indywidualności słuchaczy lub czytelników dla których właściwie była układana. To samo powiedzieć mogę i o moich elementarnych pracach, że służąc mi za podstawę do lekcji prywatnych, noszą charakter i odbicie potrzeby, która je do życia wywołała. Nie są to nowe, oryginalne spostrzeżenia, ciekawe i pracowicie wykryte szczegóły, samym uczonym nieznanne, owszem są to drobne, bezpretensyjne broszury, mające na celu zaspokojenie gwałtownej potrzeby, jaka się czuć dawała przy wykładzie nauk. Są to, rzec można, roboty mozaikowe, z cudzych okruszyn złożone; do autora należał tylko wybór szczegółów,

jasny ich wykład i porządek systematyczny.

Pisma historyczne Zdanowicza były owocem wytrwałej i sumiennie wykonanej pracy, były owocem trudów człowieka, który dwadzieścia kilka lat poświęcił dla dobra młodzieży. Nie w martwych tedy spisach bibliograficznych, ale w pamięci serc dwóch pokoleń oceny ich szukać należy.

W tych kilku rysach ogólnych nie mieliśmy pretensyi dać zupełnego obrazu człowieka, zaledwośmy odsłonić mogli stronę jego najbardziej wpływową, na pamięć naszą zasługującą. Dodajmy przeto na zakończenie, że podstawą działalności tej było czyste chrześcijańskie uczucie, była miłość ludzi, była wreszcie miłość wszystkiego, co piękne, miłość poezji, w której wśród najtrudniejszych chwil życia szukał pociechy dla siebie i dla innych.

W ostatnich czasach s. p. Zdanowicz, doświadczwszy w rodzinie swojej zawodów i strat bolesnych których miłujące serce jego znieść nie mogło, przygnębiony był nadmiarem cierpień. To też od roku 1863, już jako emeryt, usunął się od dawniejszych licznych zatrudnień swoich i żył w samotności, poświęcając wolne od cierpień chwile wykończeniu prac rozpoczętych.

A. Bądzkiewicz.

Kronika tygodniowa.

Liście żółkną...

Miss Braddon, powieściopisarka angielska, twierdzi że człowiek który może z zimną krwią patrzeć na żółknięcie liści, ma zły charakter.

Nie posuwamy tak daleko naszego latolubstwa, przyznajemy jednak że stopniowe niknięcie tak zwanej pięknej pory, przykre na nas sprawia wrażenie.

Domy zaczynają już powoli przybierać pozory więzień. Zakładanie podwójnych okien jest hamulcem rzuconym na świeże powietrze. W wystawach sklepów ukazują się powoli ciepłe odzienia, galosze, futra; przeczuwamy mgły i słoty jesienne i owe długie wieczory, przy których olej, gaz lub nafta nadaremnie starają się nam zastąpić słońce nieobecne...

Ale spostrzegam się, że zacząłem dzisiejszą kronikę jakby reklamę jaką. Czytelnicy gotowi mnie posądzić, że za pomocą tego przejścia, które usiłuje być nęcącym, zamierzam im polecać jaki nowo-otworzony skład drzewa lub węgla, albo przynajmniej jakiś magazyn suto w ciepłe ubiory zaopatrzony.

Tymczasem nic z tego nie mam na myśli, nie pragnę wam nawet przedstawiać abonamentu książek, jako jedynego lekarstwa na długie wieczory. Wiem dobrze że bez książek wielu z was się obejdzie, zdawna bowiem przyzwyczaili się do tego. Nawet gdybym wam, tak z daleka, zapowiedział nową edycyą, tym razem prawdziwie kompletną i uporządkowaną, dzieł Syrokomli, nie uczyniłoby to na niektórych żadnego wrażenia. Będzie, to dobrze, nie będzie, to jeszcze lepiej. A zresztą ja nawet nie wiem czy dzieła te wyjdą, chociaż prawdę mówiąc należałoby się to oddawna. U nas autorowie tułają się po pismach i pisemkach, albo w osobnych tomikach bez ładu i porządku wydawanych. Zebrać to wszystko mało kto myśli, bo i na zwrot wyłożonych kosztów trudno rachować. Kaźdy się rozdrabnia ile możności; korzystając z lada myśli jaka mu zaświeci, rzuca ją na papier, nie czekając aż dojrzeje, byle odrazu coś zebrać.

Ale Syrokomla należy do wyjątków. Prace jego stanowią pewną całość, jedna dopełnia drugą i jedna z drugiej wypływa. Czuję że to pisał człowiek który nie spekulował na chwilowe wrażenie, ale szedł tam gdzie prowadziło go natchnienie, gdzie widły skarby miłości jakimi Bóg mu opromienił serce. Lirnik wioskowy szukał w około siebie po ziemi i odkrywał skarby i dyamenty.

Posiadał on bowiem owę łaskę zaczarowaną, która uwidocznia w oczach jej szczęśliwych posiadaczy skarby w głębi ziemi ukryte, a którą my, w zwykłej naszej mowie, nazywamy talentem poetycznym.

Więc pożądanym byłoby, gdyby jaki *nie Jagielski* pomyślał o zebraniu w jeden snopek tych skarbow rozrzuconych.

*

*

*

A zresztą należałoby to się choćby i dlatego, że byśmy sobie trochę przypomnieli dawną dobrą tradycją poetycką; dziś bowiem, zalani potokiem więrszy różnego rodzaju, tracić ją zaczynamy.

Nieraz myślałem o tém, że dola naszego redaktora głównego jest nie do zazdroszczenia.

Pomyślcie tylko, że ten nieszczęśliwy męczennik swoich obowiązków musi każdodziennie przeczytać z jaki tuzin różnych dłuższych lub krótszych utworów poetycznych i zrobić wybór pomiędzy nimi.

Często wybór zdawałby się łatwym, należałoby bowiem wszystko odrzucić; ale jak tu nie zachęcić choćby zarodów jakiej poetycznej zdolności, kielkujących w ośmio lub dziesięciozłotkowych więrszach!...

A przytém, czytając takie *różnej wartości* poematy, jeżeli zdarzy się natrafić na coś co przynajmniej sensownie się składa, nie grzeszy zbytnią niedokładnością formy i choć jedną lub dwie rzeczywiste myśli w nawale słów zawiera, przychodzi koniecznie ochota przyjąć do teki ten utwór i dać mu obywatelstwo druku.

Więc jeśli ludzie poważnie na rzecz patrzący mają co do zarzucenia przewodnikowi naszego pisma, to chyba zbytnią pobłażliwość w takich razach, z czém on się zresztą bynajmniej nie tai.

Ale nie wszyscy widocznie są tego zdania.

W numerze 92 Kuryera Lubelskiego czytamy reklamacyą, którą pokrylibyśmy milczeniem, gdyby nie wiązała się z dość ważną kwestyą.

Jakiś pan Żnicz zarzuca redaktorowi Tygodnika zbyt ostry ton odpowiedzi udzielanych autorom odrzuconych arcydzieł i za przykład podaje następujące zdanie:

„Myśl piękna, obrobienie niezręczne, drukować nie można.“

— „A o cóż nam idzie, mówi pan Żnicz, jeżeli nie o te myśli piękne? czegoż szukamy w utworach jeżeli nie myśli, cóż dopiero pięknych? Obrobienie, styl, forma, to rzeczy na drugim planie, (?), wreszcie to rzecz redaktora: niech obrobi i odda nam to co dla nas przeznaczone!“

O bożku litewski światła i ognia, jakież ty ciężkie wkładasz na tego nieszczęśliwego redaktora obowiązki!

Przypuśćmy naprzykład żeś przysłał do redakcyi myśl, iż dobrze jest gdy żona w danym razie poświęca się za męża, myśl przyodzianą w kilka setek niezdatnych więrszydeł. Piękności temu pomysłowi zaprzeczyc nie można i ani wątpię że byłoby ci bardzo wygodnie, gdyby redaktor utworzył z tego Grażynę i podpisał ciebie jako autora.

Ale wierzaj mi, Żniczu płomienisty, że ten komu myśli prawdziwie piękne i nadobne przychodzą, potrafi je ubrać i w nadobną szatę. Żaden z poetów, którzy cokolwiek w literaturze zdziałać potrafili, nie potrzebował redaktora, żeby mu utwory jego obrabiał. Zresztą każdy człowiek choć trochę myślący może mieć myśli, ale nie każdemu daném jest zostać pisarzem. Kiedy na widok nędzy sięgnąłeś po grosz do kieszeni, powzięłeś myśl prawdziwie piękną, ale nie napiszesz z tego *Jalmużny*, bo nie masz talentu Chęcińskiego.

I dlatego, ogniu wieczny, odzywam się z tém do ciebie, iż przeczuwam, że ty właśnie jesteś niefortunnym autorem tego odrzuconego więrsza. Więc nie zrozumiałeś że ci redaktor w odpowiedzi swojej pragnął tylko ozłocić pigułkę, osładzając przymiotem *tęj pięknej* myśli, której wątpię czy się tam doszukał, nieudolność twoich Żniczowych pieśni? A na dowód że się nie mylę w domyśle, przytoczę tu początek owego polemicznego artykułu, w którym kręślił swój własny portret.

„Jestem rubaszny, używam wyrazu w całej jego nagocie, *nie pokrywając wmgaganą maską*; broni mię tylko prawda w imię której to mówię, a prawda przecież, jakkolwiek wywodzi ród swój *od świętych ksiąg ewangelicznych* (gwałtu! co tu księgi ewangeliczne mają do czynienia?), dotychczas niestety jest szkodliwym dla człowieka przymiotem. Nie uwierzcie co cierpieć musi najniższy wasz sługa; to tylko mnie cieszy, że wszyscy ci których pragnę widzieć obrażonych, najposłuszniej się obrażają, wszyscy ci do których mówię nie wytykając ich palcem, sami się wytykają.“

Jeżeli w *tęj najzwyczajniejszej prozie myśli* trudno się doszukać, cóż dopiero musi być w więrszach?

Przebaczcie czytelnicy, że was tak długo zajmowałem przedmiotem nie zasługującym może na większą uwagę; ale trzeba było choć raz dać odprawę tym pokątnym paszkwilom, rzucanym gdzieś z ciemnej nory, pod maską anonimu, lub pseudonimu, przez tych wszystkich, którzy się gniewają, że ich geniusz nie otrzymał w poważnych pismach należnego mu, według nich, uznania.

* * *

Z tego jednak com przed chwilą powiedział, proszę nie uważać mnie wcale za zaciętego wroga poezyj korespondencyjnych, a nawet więrszy okolicznościowych. Owszem, rad zapoznać się z nimi i nawet przytaczam je chętnie, jeżeli ostatecznie nie są równego pokroju z temi, które redaktor nasz zmuszony jest rzucać do kosza, pocieszając nadsyłających zrzęcną odpowiedzią.

Oto dowód.

Tym razem podnoszę więrsz na drodze publicznej i pośpieszam zakomunikować wam go.

Na Żwirówce pomiędzy Prasyszem a Ciechanowem znajduje się kamień przydrożny, na którym wyryty jest więrsz następujący:

Przechodniu, dobrodziejstwa błogosław szarwarku!
Trzy lat temu myśliwy, wracając z jarmarku
W trzy konie z lekką bryczką, gdy uwiązł w tym

[chrapie,

Podobnież ulgnionego zająca w nim łapie,
I siadłszy na kamieniu gdzie te słowa ryto,
Czekał by go przez litość z ilu wydobyto.
Wtém *światło* myśl podało, podjęli ją chętni,
I gdzie dawniej wóz tonął, dziś zwyciężko tętni.

Dla lepszego zrozumienia tego więrsza nadmienić wypada, że nosi on na sobie datę r. 1835, w którym rzeczywiście tam żwirówka wybudowaną została i że ówczesny komisarz obwodu praszyńskiego, który dał silny popęd robotom, zwał się *Lux* (światło).

* * *

O przyjeździe do Warszawy pani Chłapowskiej (Modrzejewskiej) wiecie już czytelnicy, dodaję więc tu tylko, że z początkiem przyszłego miesiąca rozpoczyna się jej wystąpienia.

Będą one zajmującymi, przed przybyciem bowiem artystki krakowskiej zdania o nią ścierały się już w dziennikach,—a w każdym razie scena nasza zyska przez to szereg przedstawień sztuk poważnych, tak pożądanych przez publiczność znużoną błahostkami i drobnostkami, których jej dotąd nie żałowano.

A pomiędzy wybranymi jest i Szekspir.

Dobrzeby jednak było żeby kto z tłumaczy, a Warszawa posiada ich kilku bardzo zdolnych, zechciał przejrzeć przekład który ma być użytym, nie zgadza się on bowiem z dzisiejszemi wymaganiami deklamacyi scenicznej, a tym sposobem podwaja dla artystki trudność zadania, np. w sławnej scenie Ofelii, która jest prawdziwym klejnotem w Hamlecie.

Przegląd polityki zagranicznej.

25 września.

W chwili gdy królowa Izabella hiszpańska zjechała się miała w San-Sebastian z cesarzem Napoleonem, gwałtowna rewolucya wybuchła na wszystkich punktach Hiszpanii. Wywiezieni na wyspy Kanaryjskie generałowie opuścili je i stanęli na czele powstania w Andaluzyi, dokąd udał się także i generał Prim z Londynu. W tymże czasie powstańcza część floty podpłynęła pod Kadyks, zbombardowała to miasto i zmusiła je do poddania się. Na wieść o tak ważnych wypadkach, królowa Izabella zaniechała widzenia się z cesarzem Napoleonem. Udał się do Madrytu, ogłosiła to miasto w stanie oblężenia, rozpuściła gabinet Gonzaleza Bravo i powołała do steru rządu margrabiego Concha, znanego z liberalnych swych usposobień. Środki te jednak nie zażegnały burzy. Z następnych telegramów dowiadujemy się, że oprócz Kadyksu, Kartagina i Ferrol przyłączyły się do powstania, że cała Galicya jest pod bronią i że rząd tymczasowy ustanowiono w Sewilli. Nareszcie

depesza z dnia 24 b. m., donosi, że według wiarogodnych zapewnień, królowa abdykowała na rzecz syna swego księcia Asturyi, że cała Hiszpania jest w powstaniu i że większość miast oświadcza się przeciw rządowi, przy okrzykach „precz z Burbonami!“ Według téjże depeszy, powstańcy opanowali już jedną z bram Madrytu „Puerta del Sol“, generał zaś Concha układa się z nimi o uznanie księcia Asturyi i wyznaczenie regencyi. Zresztą wszelkie dotychczasowe wieści przyjmować należy ostrożnie, gdyż komunikacye telegraficzne w Hiszpanii są zerwane. Czy książę Montpensier, infant don Juan i król portugalski mają widoki powodzenia w kwestyi objęcia spadku po królowej Izabelli, tego dokładnie wiedzieć dziś nie można. Według ostatnich pogłosek, królowa hiszpańska postanowiła we Francyi szukać schronienia. Flota francuzka, pod pozorem obrony interesów poddanych francuzkich przebywających w Hiszpanii, wypłynęła podobno na morze Śródziemne; Patrie jednak zapowiada, że rząd francuzki zachowa się biernie w téj sprawie i wyczekiwać będzie dalszych na półwyspie wypadków.

Telegram paryzki z d. 22 b. m. przytacza artykuł dziennika Jour. de Rouen, zapewniający że minister wojny rozpuści wkrótce 80,000 ludzi. W obecnej epoce, pośród mnóstwa wojennych pogłosek, wiadomość powyższa widocznie pożądaną była, skoro agencye telegraficzne rozniosły ją po świecie. Wyznać wszakże trzeba, że nie przyczyniła się w niczym do uspokojenia umysłów. Gdyby rozpuszczenie tak znacznego korpusu leżało istotnie w zamiarach rządu francuzkiego, to nie Jour. de Rouen, lecz Patrie, France, Constitutionnel, a może i sam Monitor podałby tak ważne postanowienie. Tymczasem żadne z tych pism dotąd nie wspomniało o tém, a chociaż prasa urzędowa stara się uspakajać publiczność i dowodzi że nie należy obawiać się starcia, opinia jednak publiczna, raz już uprzedzona, nie może przyjsć do siebie i usilnie wierzy w wojnę z Prusami. Sumiennemu więc sprawozdawcy nie pozostaje dziś nic innego, jak krytyczne przytaczanie obiegujących wieści, z zastrzeżeniem ich prawdopodobieństwa. Niektóre pisma utrzymują, że widok zapału wojska w Chalons i przywiązanie okazane tam Napoleonowi III, silnie oddziały na umysł monarchy francuzkiego, i że w Biarritz zwołaną będzie wielka rada ministrów, na której cesarz oznajmi swe ostateczne postanowienie. Jour. des Debats wystąpił z silnym przeciw wojnie artykułem, kończy jednak tém przypuszczeniem, iż jeżeli Prusy wzmocniły się przez związek i przymierza z sąsiednimi niemieckimi państwami, to i Francyi wolno ułożyć związek z Belgią, Holandya i t. d. Odbywające się w niektórych okręgach wybory do ciała prawodawczego, wypadły na korzyść rządu.

Pomimo ostrój polemiki dzienników pruskich (półurzędowych) z francuzkimi i austryackimi, rząd pruski przemawia wciąż pokojowo. Podczas pobytu swego w Hamburgu, król pruski miał mowę, w której nanowo zapewniał, że pokój wszystkim jest potrzebny, że ma nadzieję iż będzie utrzymanym i dziwił się że mowę jego mianą w Kiel uważano za wojowniczą. Dzienniki pruskie zaprzeczyły obiegującej w ostatnich czasach wieści o blizkiem przyłączeniu do Związku pruskiego w ks. badeńskiego. Wydelegowanie deputacyi niemieckiej demokratycznej do Paryża, celem oznajmienia Napoleonowi III, iż może liczyć na współczucie Niemiec południowych w razie wojny z Prusami, okazało się bajką.

Ostatnie depesze. Wiedeń, 24 Września. Okręty wojenne hiszpańskie, stojące pod San-Sebastian, zamknięte zostały przez eskadrę powstańczą. Pojedynawcze propozycye ministra Concha odrzucone zostały przez marszałka Serrano. W Madrycie ogłoszono rewolucyjno-urzędową proklamacyą, w której powiedziano że opór byłby daremnym, a ktoby strzelał do ludu i armii, uważanym będzie za zdrajcę.

Lwów, 22 września. Dziś rozpoczęto obrady nad adresem. Hr. Gołuchowski namiestnik oświadczył, że gani wniosek Smółki jako niebezpieczny, adres zaś zachodzi zadaleko i zaostrą ma formę.

(W. T. B. Ind. Bel. Schl. Ztg. Jour. des Deb. France).

KALISZ.

(Z rysunkami podług fotografii Piotra Wolskiego).

W dolinie korytami rzeki Prozny kilkakrotnie przerzniętą, w powabnym położeniu, miasto Kalisz pod wieloma względami różni się od innych w kraju. Wpływ sąsiednich Niemiec bardzo tu widoczny i charakteryzuje stronę jego wewnętrzną i zewnętrzną. W historii jest to jedna z najstarszych osad w kraju, początkiem swoim pogańskich czasów sięgająca, a nawet już przed Ptolomeusza wspomnianą.

Nazwisko miasta tego pokazuje, że pierwotnie w bagnistym czyli kalistym położeniu zbudowane być musiało, co i ta okoliczność potwierdza, że właśnie z powodu tego położenia, które dla osady w ludność wzrastającej coraz się stawało mniej dogodnym, równie jak i z powodu częstego wylewu rzeki Prozny, Władysław Łokietek, a ostatecznie Kazimierz Wielki przeniósł Kalisz na inne miejsce.

Tak więc dzisiejsze miasto nie jest owym pierwotnym Kaliszem, o którym częste mamy w kronikach wzmianki, jako o stolicy udzielnego księstwa, w którym Zbigniew syn Władysława Hermana zamek obronny zbudował, któremu Bolesław Pobożny książę wielkopolski rozmaite ważne nadał przywileje, w którym stał kościół św. Pawła, grobem Mieczysława pamiętny. Nie jest to ów Kalisz, w którym już za Przemysława kwitnęły słynne w kraju i za granicą fabryki i rękodzielnie, mianowicie sukna, ów Kalisz, który już na początku XIII wieku wszedł w związek hanzeatycki i głośny był ze swoich obszernych handlowych stoisków i bogactwa mieszkańców...

Dzisiejszy Kalisz w budowlach świeckich jest miastem zupełnie nowym, a lubo znalazłyby się w nim kamienice w XVI, a może nawet w XV wieku stawiane, w następnych atoli czasach tak przerobione zostały, że ich od innych odróżnić nie można.

W późniejszych wiekach powoli nikną ślady znaczenia miasta, które zeszło do tego stanu, iż na początku upłynionego stulecia wielkie niegdyś hanzeatyckie miasto liczyło tylko 34 domów, z 78 mieszkańcami.

Zawsze czysty, świeży, powabny, Kalisz ma pozór całkiem nowożytny, i gdyby nie kilka dawnych kościołów, gdyby nie kilka szczątków muru Kazimierzowego dotąd ocalonych, nie byłoby w nim żadnych zgoła zabytków minionych wieków.

Najokazalszymi jego miejscowościami są: rynek prawdziwie nieobszerny, ale porządny, dwupiętrowymi domami otoczony. Do rynku zbiega dziesięć ulic, z któ-



Kościół św. Józefa w Kaliszu.

rych najcelniejsze są: Warszawska, Maryańska i Wrocławska. Przy ulicy Maryańskiej jest plac okazały z farą, gmachem rządu gubernialnego, kościołem ewangelickim (dawniej jezuitskim), gmachem byłego korpusu kadetów i domem Rosena. W końcu ulicy Wrocławskiej jest piękny z ciosowego kamienia most o jednym łuku. Od tego mostu, prawie tuż ponad przeciwnym brzegiem rzeki Prozny, ciągnie się ulica

Najnowsze odkrycia, wynalazki i spostrzeżenia naukowe.

Lina telodynamiczna Hirna z Kolmaru. — Meteorograf Secchi'ego. — Ciekawe próby Marini'ego i Brunetti'ego, dotyczące zachowawczości zwłok ludzkich. — Odkrycie nowej wyspy na oceanie Spokojnym.

Nie wszystko co błyszczy jest drogocennym kruszcem, i odwrotnie bezkształtna bryła niekiedy szlachetny metal kryje w sobie. Są wynalazki z pozoru nie uderzające wyobraźni, nie ciskające się w oczy sztucznym mechanizmem, nie ściągające uwagi reklamą, a pomimo to niezmierną nacechowane użytecznością. Do takich właśnie należy przyrząd Hirna, za który wynalazca otrzymał wielką nagrodę na ostatniej wystawie paryskiej. Jeżeli, czytelniku, należał do tych wybrańców, którym Fortuna pozwoliła oglądać cuda przemysłu i areydzia sztuki, zebrane z pięciu części świata na ową wystawie, to w głębi parku pola Marsowego dostrzegłeś przeciągnięty w powietrzu prosty drut żelazny, przesuwany się tak szybko, że zdawał się być nieruchomym. Poruszała go lokomobila, a podpięrały dwa słupki, z których jeden pomieszczono na krawędzi jeziora, drugi na brzegu przeciwnym. Tłumy zwiędzające to miejsce przypatrywały się ciekawie wędrowce drucianej linki, pytając gdzie biegnie i w jakim celu? Głowy znużone wpatrywaniem się w górę, zniżyły się w końcu, szukając rozwiązania zagadki na ziemi.

Ale szmer metalowy przestał być hieroglifem, gdy się dowiedziano że przenosi siłę motoru z jednego punktu na drugi z nadzwyczajną szybkością, bez względu na odległość. Miejsce ciekawości zastąpił wtedy podziw, niekiedy wątpliwość, zdradzająca się uśmiechem na ustach niedowiarków. Przyrząd jednak Hirna rozwiązuje jedno z najważniejszych zadań mechaniki. Aż dotąd, gdy zachodziła potrzeba rozwinięcia siły w danej miejscowości, ustawiano tam maszynę parową, a sprowadzano takową często zdaleka, z wielkim trudem i kosztem. Trudności te dziś znikają. Z pomocą przyrządu Hirna, możemy siłę poruszającą mieć gdziekolwiek w piwnicy, a pomimo tego sznur przewodnikowy, czyli lina telodynamiczna, przeprowadzi ją choćby na szczyt wieżycy



Plac św. Józefa w Kaliszu.



Główny rynek w Kaliszu.

Wprawdzie za Augusta III, a bardziej jeszcze za Stanisława Augusta, dźwigać się znowu począł Kalisz, ale już nigdy nie dosięgnął dawniej swojej pomysłowości.

Dopiero od roku 1815 właściwie powstało nowe miasto, wzrósł przemysł, rozkwitły znakomite fabryki istniejące do r. 1830 i pomnożyła się ludność, dochodząca do 14,000 mieszkańców.

Józefiny, wysadzona w połowie znacznej swęj długości czterema rzędami drzew, przy której wznosi się okazały gmach trybunału, a za tym po jednej i drugiej stronie piękne murowane domy. Śliczny park i kilkanaście prywatnych ogrodów niemało także dodają miastu ozdoby.

o milę odległej. Potrzebujemy ją tylko przedłużyć, nic więcej. Jak widzimy, wynalazek Hirna będzie niemałej użyteczności w przemyśle.

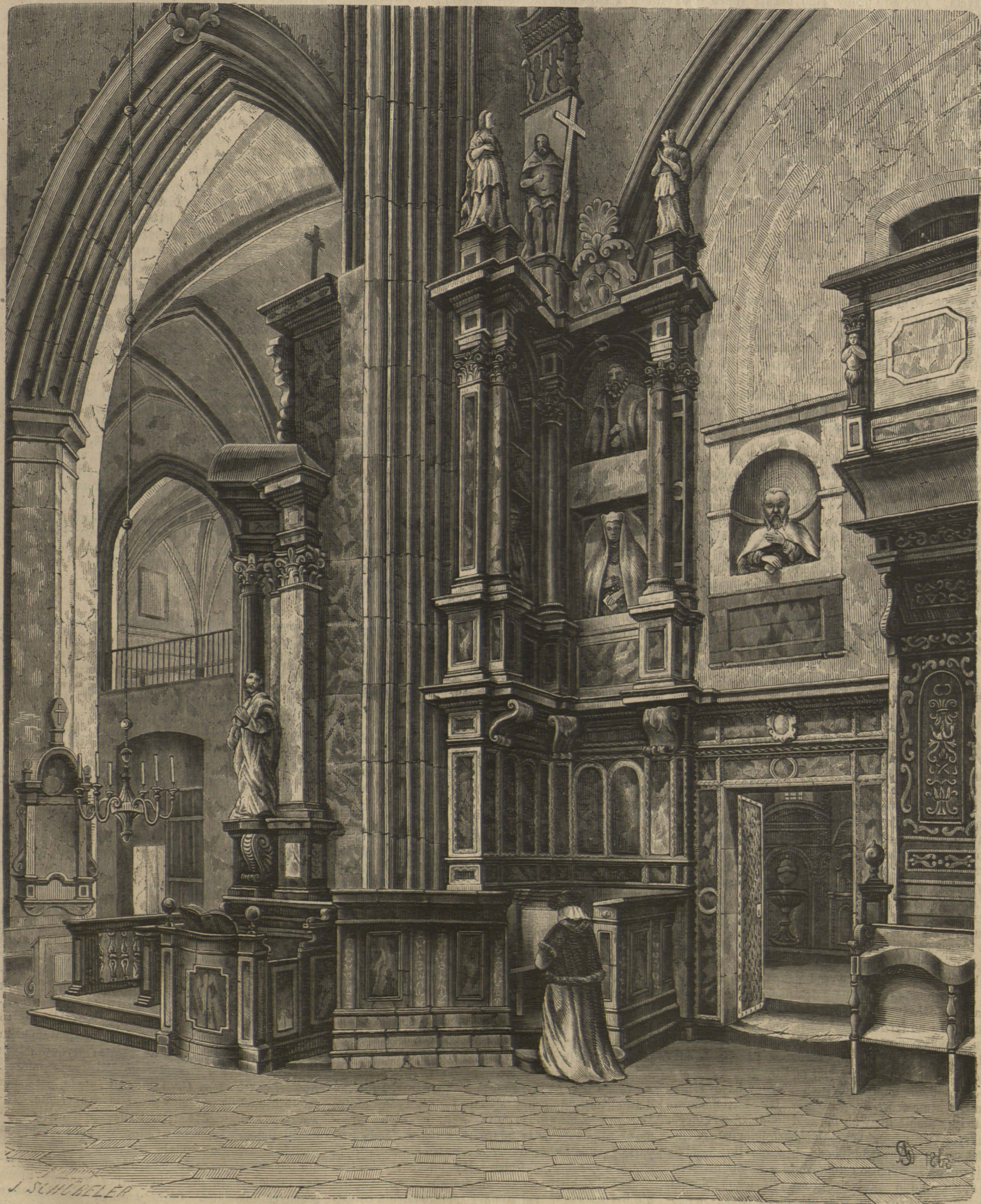
Sznur może przejść przez otwór jakiegokolwiek, przez drzwi, lufcik, dymnik, gdzie niepodobna przecisnąć się maszynie parowej, może przeskakiwać nawet dachy.

Z lokomobili ustawionej około ministerstwa woj-

ny, lina Hirna przeprowadzała siłę na pole Marsowe, czyli na długość 520 stóp, poruszając pompami obrotowymi Neut'a i Dumont'a.

o sześćset sążni dalej, ustawmy szereg słupków, z których każdy odległy jest od drugiego o sążni sześćdziesiąt. Naostatku urządzmy nowy blok i po-

ruszać się będzie, jak gdyby bezpośrednio machina parowa na niego działała. W ten sposób utworzy się szereg ruchów przenośnych, aż do miejsca przez



POMNIKI CELLARYCH, z wnijsciem do zakrystyi, w kościele N. P. Maryi w Krakowie. (Rysunek A. Gryglewskiego.)

Zasada przyrządu bardzo prosta. Wyobraźmy sobie jakikolwiek motor parowy, wprawiający w ruch obrotowy szeroki blok. Jeżeli chcemy zużytkować siłę nie na miejscu, ale przeprowadzić ją naprzykład

łączmy ten system metalowym sznurem bez końca. Cóż zajdzie? oto blok motorowy obrotom swym wprawi w ruch linę przesuwającą się po słupkach, a ta z kolei nada ruch drugiemu blokowi, który po-

nas wyznaczonęgo.

Machina poruszająca, dzięki pomysłowi Hirna, posiada dziś długie ręce, sięgające, pomimo przeszkód miejscowości, daleko. Z tarcia się tylko liny meta-

lowej o słupki wynika pewien niewiele znaczący ubytek na sile. Wynosić on może od 5 do 6%.

Hirn wynalazkowi swemu poświęcił siedemnaście lat życia. Pierwsze próby jego datują się od roku 1850. W owym czasie przynosił on siłę 12 konną na odległość 46 sążni. Rezultat ten nie zadowalał wcale mechanika, który nad udoskonaleniem swego pomysłu nie przestawał dalej pracować, nie chcąc sięgać wcześniej po patent wynalazku. We dwa lata potem siłę 40 konną udało mu się przenieść na trzy razy większą odległość. Bloki jego dawały 92 obrotów na minutę, a łączyła je lina pół cala średnicy mająca. W r. 1857 odbywał on doświadczenie z motorem siły 100 koni, poruszającym mechanizmy o siedemset sążni odległe, w Oberkassel, niedaleko Frankfurtu, z pomocą liny przebiegającej osiem stacyj. Szybkość obrotowa liny dochodziła 77 stóp pol. na sekundę. W pracach nad wydoskonaleniem nowego wynalazku, wspierali Hirna: mechanik Marcin Stein z Mulhouse i profesor berliński Renhauz, którego studia teoretyczne, znalazły tu praktyczne zastosowanie.

Aby dać wyobrazenie jak ważne usługi oddać może przemysłowi lina telodynamiczna, dość przytoczyć że Stein przysposobił jej już 41,600 sążni pol., odpowiadających sile 4160 koni parowych.

Nowy system upowszechni się wszędzie. Korzystać z niego będą mogły najrozmaitsze fabryki, zakłady tkackie, przędzalnie, szwalnie mechaniczne, a co więcej domowe warsztaty. Lina przeprowadzona do pracowni rzemieślnika, przyniesie mu siłę odpowiednią potrzebie.

Przypuścimy, że z jednej strony góry leży wioska, niedość w wodę zaopatrzona, z drugiej zakład fabryczny mający jej podostatkami. Aby sprowadzić wodę do wsi, potrzebaby w tych warunkach użyć siły 800 lub 1200 koni parowych, w ciągu 10 godzinnej pracy, i wydać tyleż dwuzłotówek za węgiel, jeżeli siłę motorową dawać ma machina parowa. Lecz poco tyle zachodów i wydatku? Lina Hirna przeprowadzi wodę w takiej ilości, że ta zalaćby mogła wioskę całą. Napotyka górę, przesadza ją, siła tysiąca koni przebiega linę z szybkością 130 lub 140 stóp na sekundę i wpada w dolinę, aby w ruch wprawić warsztaty rękodzielnicze i przemysłowca.

Przyznać musimy, że drut powietrzny rozpostarty w roku zeszyłem nad polem Marsowem, należy do genialnych wynalazków.

Na wystawie paryskiej piękny przyrząd umieszczony w środku ulicy Włoskiej, ciekawe gromadził tłumy.

Czy to zegar? zapytywali jedni. Ależ dlaczego w nim tyle mechanizmów różnorodnych, tyle ruchów zmiennych, — tyle ruchomych arkuszy papieru? dawali drudzy. Nie, to nie zegar, była ostateczna konkluzja. I wistocie nie był to zegar, ale przyrząd fizyczny, nazwany przez wynalazcę, ks. Secchi'ego dyrektora obserwatorium rzymskiego, *meteorografem*.

Za to arcydzieło jego wielebność otrzymał z rąk cesarza Napoleona III jedną z pierwszych nagród konkursowych, wielki medal złoty.

Przechodzący dziś obojętnie około wynalazku Secchi'ego, jutro uchylą kapelusza, gdy się dowiedzą jak cenne usługi ów przyrząd nauce oddaje.

Meteorologia, ta ważna gałąź fizyki, długo pozostawała w dzieciństwie; potrzeba jej było żywiołów licznych i nowych aby się dźwignąć. Ruchy barometru, zmiany temperatury, stopień wilgotności powietrza, ilość wody spadającej, kierunek i szybkość wiatrów, są to jej żywioły, jej podstawy.

W wielkich obserwatoriach Europy fizycy śledzą zmiany atmosferyczne, podobnie jak astronomowie zjawiska niebieskie. Gdy przyjdzie dzień w którym odkryją w jakim porządku następują ruchy powietrza, przepowiadają będą bez omyłki wszelkie jej zmiany. Wtedy rolnik dość wcześniej ostrzeżonym zostanie o gradach grożących jego zbiorom, żeglarz o zbliżającym się orkanie, a uczony wysłodzi przyczynę pewnych epidemij, których objawy zdają się mieć ścisły bardzo związek ze stanem atmosfery.

Aby to osiągnąć, potrzeba koniecznie obserwacyj nie ustających na chwilę. Na drodze takich poszukiwań niema swobodnego dnia, nocy, spoczynku.

Baczny obserwator powinien notować w księdze na to przeznaczoną każdą sekundę czasu, jeżeli chce uwydatnić, uwidocznic że tak powiemy, prawa rządzące zjawiskami atmosferycznymi.

Żaden badacz podobnej pracy poświęcić się nie może. Czyż zdoła co chwila notować ruchy barometru, wznoszenie się lub spadanie kolumny ciepłomierza, piąć się na dachy dla sprawdzenia czy szybkość wiatru nie uległa zmianie? i to nie w ciągu jednego tygodnia lub miesiąca, ale przez trzysta sześćdziesiąt pięć dni i tyleż nocy!

Czegóż nam więc potrzeba? Oto aby zjawisko samo pozostawiło ślad swój bytności, swą jakby kartę wizytową, pozwalającą odczytać nazwisko pożądanego gościa. Secchi postanowił rozwiązać to trudne zadanie.

Przygotował on karty wizytowe, a raczej *cartes-blanches* i ołówek do zapisania tytułów niebieskich turystów potrzebny; jak mu się to udało — zobaczmy.

Przyrząd jego pomysłu, jest fizykiem, mechanicznym automatem niestrudzonym. Nie opuszcza on na chwilę swego stanowiska, ale dostrzega i notuje z zadziwiająca dokładnością odwiedzin tych wszystkich wędrowców, którzy noszą ogólną nazwę *zjawisk meteorologicznych*. Oto cel meteorografu, narzędzia wyręczającego całą armię fizyków z kości i ciała w pracy niepodobnej z pozoru do wykonania.

Kilka funtów miedzi i żelaza zapisują na nim z przedziwną dokładnością: ciśnienie powietrza, temperaturę, wilgotność atmosfery, siłę i kierunek wiatru i ilość spadłej wody.

Narzędzie posługuje się dwoma pomocnikami: ruchem zegarkowym i elektrycznością. Po jednej stronie meteorografu znajdujemy tablicę, a na niej zmiany barometryczne i ilość wody spadłej, po drugiej stronie inna tablica okazuje siłę i prądy różnokierunkowych wiatrów, oraz stopień ciepłomierza.

Nie wdając się tu w szczegółowy opis tego cudu mechaniki, którego działania zresztą bez naocznego przypatrywania się, lub przynajmniej bardzo dokładnego rysunku zrozumieć niepodobna, nadmieniamy tylko że przyrząd Secchi'ego istotnie ołówkiem notuje wszystkie zjawiska z pożądaną dokładnością. Żadne z nich nie przejdzie niepostrzeżone w obec tego niestrudzonego kontrolera.

Elektryczność rodzi w nim stos Daniela, nieco zmodyfikowany, mogący działać przez cały rok bez żadnego innego zaopatrzenia, prócz dodatku trochy wody i siarczanu miedzi.

Meteorograf jednak ma obok tych wszystkich doskonałości wadę jedną, lecz odstraszącą: jest za drogi. A szkoda, bo narzędzie tej wartości potrzebuje jaknajszerszego upowszechnienia, jeżeli oddawać ma rzeczywiste usługi.

Przychodzi nam z kolei mówić o zdumiewającym wynalazku Marini'ego z Cagliari, który po długoletnich próbach, zdołał rozwiązać zadanie zachowania zwłok ludzkich i zwierzęcych w stanie takiej świeżości, o jakiej słynni preparatorowie egipscy nie mieli wyobrażenia. Tkanka komórkowa, płyny, organa, skóra, krew, mózg, bez dalszego rozkładu w nieboszczyku pozostają niezmiennie, z pozorem naturalnym, w ciągu czasu prawie nieograniczonego. Z pomocą metody, którą wanalazca w tajemnicy jeszcze chowa, nadaje on ciałom te szczególne własności. Pod umiejętną jego ręką skóra, mięśnie, ścięgna, nerwy, arterye, żyły, odzyskują barwy i przejrzystość jakie posiadały na kilka godzin przed śmiercią.

„Przypominamy sobie, powiada sprawozdawca z którego czerpiemy, że u p. Moigno w r. 1865 podziwialiśmy fotografią słynnego historyka Piotra Martini. Zdawało się że ta twarz ożywiona przemówi, że powstanie ta figura w szerokim fotelu rozparta. Otóż fotografia rzeczona zdejmowaną była w cztery miesiące po śmierci Martini'ego“.

Jakkolwiek wynalazek Marini'ego w owym czasie nie był jeszcze w tym stopniu udoskonalenia co dzisiaj, pozwolił jednak taką giętkość nadać zwłokom zmarłego, że można go było ubrać i posadzić w fotelu bez żadnej trudności.

Wynalazca okazywał próbki swjej sztuki Napoleonowi III. Cesarz długo rozpatrywał część ramienia odjętego z mumii egipskiej, któremu Marini, z wy-

jątkiem barwy naturalnej, nadał pozór i giętkość ciała zdrowego, ze sztuką zadziwiająca. Ta część ramienia liczyła może pięć tysięcy lat istnienia. Inne ramię, wysuszone ze sto razy umyślnie, tyleż razy odzyskiwało giętkość i wydawało się jakby świeżo odjętem zostało człowiekowi. W okazywanem przez Marini'ego ciele królika, zasuszonem, ale przejrzystem, dostrzegano najwyraźniej najgłębsze części wewnętrznej organizacji.

Na stole preparacyjnym chemika widziemy dziwną mozaikę anatomiczną: skamieniałą krew, żółć, mózg, dalej uszy ludzkie, nogę młodej kobiety różaną, przejrzystą i t. p. Pomimo wystawy owych szczątków ciała i organów człowieka, zestawionych w nieporządku obok siebie, widz nie doznaje wcale uczucia wstępu lub niesmaku, lecz przeciwnie, chyli czoło przed sztuką, która zwyciężko wyszła z zapasów z naturą, oparła się jej sile niszczącej.

Mówiąc o Marini'ego, nie można pominąć prac w tejże sferze Brunetti'ego, które na wystawie powszechnej zyskały nagrodę. Brunetti również zdołał nadać zwłokom lub pojedynczym organom, np. mózgowi, zachowawczość prawie wieczystą. Metoda jego publikowaną została. Polega ona na wtyskiwaniu najpierw w naczynia krwionośne czystej wody, następnie alkoholu; poczem następuje oczyszczenie za pomocą eteru. Płyn przejmuje tkanki i rozpuszcza wszędzie materje tłuste. Z kolei Brunetti używa garbnika rozpuszczonego w wodzie wrzącej zdystylowanej. Okaz poddany tym operacyom, suszy się w końcu. W tym celu umieszcza się go w naczyniu z podwójnym dnem, napełnionem wodą wrzącą, przyczem powietrze gorące, ściśnione do dwóch atmosfer, zastępuje miejsce płynów poprzednich. Powietrze to usuwa najmniejsze ślady wilgoci. Preparat posiada lekkość, giętkość i wszystkie pierwiastki histologiczne stałe. Czas nie czyni na nim żadnej zmiany.

Według opinii atoli znawców, okazy Marini'ego pod względem przejrzystości i barwy są nieporównanie wyższe od preparatów Brunetti'ego.

Ocean Spokojny zrodził nową wyspę. Leży ona między 150°, długości zachodniej, a 40°, 30' szerokości północnej, a zatem znajduje się na drodze statków żeglujących z Chin i Japonii do San Francisco. Odkrył ją steamer Colorado w lipcu r. b. Gęsta mgła roztaczała się nad nią, niby olbrzymi biały całun. Przypuszczają że o jej skały nieznanne marynarzom, wiele statków uległo w tych stronach rozbiciu. Nowa wyspa ma przeszło dwadzieścia mil długości. Prawdopodobnie powstała ona z wybuchu wulkanicznego; przynajmniej formacja jej ten wniosek nasuwa.

W. N.

KORRESPONDENCA TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO.

Lwów, we wrześniu.

Wiadomo że przed kilku miesiącami zawiązało się tutaj Towarzystwo naukowo-literackie, w podwójnym celu popierania postępu nauki i niesienia pomocy pieniężnej pracującym na tej niwie pisarzom. Prezesem jest August Bielowski, wiceprezesem Henryk Szmitt. Czy i w jaki sposób Towarzystwo utrwali się i na jakiej drodze rozwijać się będzie, to przyszłość okaże. Dziś wzmiankuje jedynie o niem dlatego, że donieść chcę o ważnym wydawnictwie naukowym, jakim Towarzystwo zająć się zamierza. Niezadługo, bo w r. 1873 dnia 19 lutego, przypada czterechsetletnia rocznica urodzin Kopernika. Towarzystwo ma więc zamiar wydać przy tej sposobności dzieło pamiątkowe, któreby hołd zasługom wielkiego uczonego oddało, będąc w całym znaczeniu tego słowa wyczerpującą o Koperniku monografią. Dzieło takie może być tylko wspólną pracą uczonych dokonane. Chcąc bowiem dać dokładny obraz wieku Kopernika, oraz stanu umiejętności i w ogóle wyobrażeń społecznych za jego czasów, potrzeba być zarówno historykiem, jak biegłym w naukach przyrodniczych, matematykiem i astronomem, potrzeba umieć rozległym poglądem objąć cały prąd dziejów umysłowości ówczesnej, aby uwy-

datnić nowe tory naukowe i cywilizacyjne, na jakie wprowadziły ludzkość wielkie Kopernika pomysły. Najśnadniej przeto dzieła takiego mogłoby dokonać grono uczonych, wyłącznie umiejętnościami powyższym oddanych. Posiadamy o Koperniku niezmiernie wiele w swoim czasie rozgłosu mające rozprawy Jana Śniadeckiego, Karola Hubego, dzieło Adryana Krzyżanowskiego, warszawskie wydanie pomnikowego dzieła: „O obrotach ciał niebieskich,” z przekładem dokonany przez dyrektora obserwatorium Jana Baranowskiego, a z przedmową Juliana Bartoszewicza, wreszcie cenną pracę Dominika Szulca: „Życie Mikołaja Kopernika,” wydaną w r. 1855 w Warszawie.

Jakkolwiek znakomite pod wielu względami są powyższe przytoczone dzieła, nie wyczerpują one wszakże należycie przedmiotu. Towarzystwo przeto naukowo-literackie lwowskie zamierza do udziału w napisaniu dzieła na cześć Kopernika wezwać uczonych wyjątknie oddających się przedmiotom w związku z treścią onego będącym. Program wydawnictwa wypracował p. Juliusz Starkel.

Drugim zadaniem, którym zająć się ma wydział Towarzystwa, jest urządzenie wyższego kursu nauk dla kobiet. Dotąd mieliśmy tylko szkółki żeńskie początkowe, ale nie posiadamy zakładów publicznych, w którychby kobiety mogły wyższe czerpać wykształcenie. Obecnie pozostawiono to całkowicie ich własnej pracy i staraniom. Pomysł zaś Towarzystwa literackiego urządzenia kursu systematycznych wykładów, któreby zastąpiły wyższą szkołę dla kobiet, może być bardzo użyteczny, jeżeli przyjdzie do skutku. Szkoda tylko że w ogóle Towarzystwo naukowo-literackie nie ma jeszcze zabezpieczonego bytu. Przyszłość jego wątpliwa, bo wielu członków, którzy się doń z początku zapisali, odciąga się z wypełnieniem wziętych na siebie obowiązków, przez co rozwój Towarzystwa wielce się opóźnia.

Najdalej za dwa miesiące będzie już otworzona kolej żelazna do Brodów, od dworca nowego na przedmieściu żółkiewskim. Przy robotach ziemnych, zwłaszcza w pobliżu Wysokiego zamku, wykopano mnóstwo rozmaitych starożytności, monet i w ogóle cennych dla archeologów osobliwości. Wiele z nich dostało się do zbiorów księcia Sapiehy, inne nabył p. Stanisław Kunasiewicz, członek komisji fizyograficznej Towarzystwa naukowego krakowskiego, posiadający zbiór archeologiczny bardzo cenny. Pomiędzy przedmiotami przezeń nabytymi z wykopalisk znalezionych przy robotach pod kolej brodzką, znajduje się zajmujący w swoim rodzaju i dobrze zachowany posążek żelazny, którego fotografią załączam *). Mnóstwo też wykopano monet najrozmaitszych. Nie wspominać o znacznej ilości pieniążków Jana Kaźmirza, bo te, dla wielkiej ich obfitości, nie mają w numizmatyce wartości; ale znajdowano i o wiele starsze z czasów Batorego, Jagiellonów, pieniądze Olbrachta i Aleksandra i cenniejszy od nich a niezmiernie rzadki kwartnik Kaźmirza Wielkiego. Wszystkie cenniejsze monety nabył także p. Kunasiewicz.

Kolej brodzka ułatwi artystom tutejszym poznanie wschodniej części kraju. Dotąd niektóre tylko uprzywilejowane rzec można okolice Galicyi zachodniej były zwiedzane, jak Tatry około Nowego Targu, miejsca kąpielne Krynica, Szczawnica i na tym koniec. Jeden tylko Tępa przedsiębrał podróże i w inne okolice, dla zbierania albumu typów ludowych. Dziś koleją czerniowiecką zwiedzić można Pokucie, malownicze brzegi Prutu i poznać górskie Huculów siedziby, gdzie pieśń o Doboszu, powtarzana echem górskim od skały do skały, przylgnęła poetyczną legendą do tajemniczych jaskiń i szczytów karpaccich. Pierwszym zaraz pociągiem kolei brodzkiej wybiera się grono artystów na wycieczkę dla zwiedzenia zamku w Podhorcach, który jest prawdziwym skarbem archeologii krajowej. Najznakomitszy fotograf nasz, p. Szajnok, który jak wiadomo wydał ostatnimi czasy przepyszne „Album żółkiewskie” i „Tekę Grotta” i do nowych podobnego rodzaju wydawnictw się zabięra, wyjeżdża także w tym towarzystwie do Podhorzec, dla zdjęcia fotografii zamku, przeszlicznego kościoła, jakoteż innych

zabytków starożytnych ze zbiorów tamtejszych. Obecnie bawi p. Szajnok w podobnym celu od kilku tygodni w Krasiczynie, zdejmując widoki tamtejszego zamku i okolicy. Wdzięczność należy się fotografii i fotografom, co wpadłszy na myśl szczególną, rzucili się do zdejmowania krajobrazów Galicyi, przez co dadzą nam poznać zblizka piękności rozmaitych okolic i to co w nich jest godnego uwagi pod względem architektonicznym i starożytnym. Przykład dał p. Szajnok, przykład zaiste wart naśladowania i poparcia.

Muszę jeszcze wspomnieć kilku słowy o niezwykłym u nas wydawnictwie. Zaczęło wychodzić w odstępach tygodniowych pismo *Poczta*, poświęcone samym ogłoszeniom, a rozsyłane po całym kraju i za granicę bezpłatnie. Ta bezpłatność jest czémś szczególniejszym u nas i zapewnia *Poczcie* odbyt, jakiego nie ma żadne inne pismo. Chcesz czy nie chcesz, jeżeli tylko nazwisko twoje i miejsce w którym mieszkasz znajduje się wymienione gdziekolwiek, odbierasz co drugi tydzień ogromny arkusz zapełniony najrozmaitszymi ogłoszeniami, pod moralnym zobowiązaniem odczytania zawartych w nim doniesień i skorzystania z nich o ile będziesz potrzebował. Wydawcy, rozsyłając pismo swoje bezpłatnie, liczą jedynie na dochód od stron umieszczających ogłoszenia w „Poczcie.” Gazety tutejsze przeraziły się w pierwszej chwili zapowiedzią tego wydawnictwa, sądząc że im odbierze cały dochód z doniesień. To jednak dotąd się nie stało, a przyszłość dopiero okaże czy wydawnictwo „Poczty” jest praktyczne i kto wyjdzie zwycięzko z tej walki współzawodniczej: *Poczta* czy inseraty gazeciarskie?

Stenografia coraz pomyślniej rozwija się u nas. Nauka ta uczyniła tutaj w przeciągu ostatnich pięciu lat ogromne postępy. Wygłaszają ją na uniwersytecie i w akademii technicznej i co rok wychodzi po kilkudziesięciu uczniówobznajmionych dobrze z tą nauką. Obecnie księgarnia Sejfarta i Czajkowskiego zaczyna wydawać pismo poświęcone głównie stenografii, pod tytułem: „Wiadomości z dziedziny stenografii, kaligrafii i typografii. Co miesiąc wychodzić ma arkusz tych „Wiadomości,” do czego będą jeszcze dodawane osobne arkusze wzorów sztuki drukarskiej, ćwiczeń stenograficznych i kaligraficznych.

Nadto wydał właśnie jeden z najbieglejszych stenografów tutejszych, p. Felicyan Jackowski, dzieło: „Nauka stenografii” podług zasad systemu Gabelsbürgera, ułożona dla języka polskiego. Dziełko to obejmuje dwa działy — pierwszy historyczny, w którym skrócony jest rys dziejów rozwoju stenografii; drugi zawierający naukę jej objaśnioną tablicami i przykładami w taki sposób, aby można się obejść bez pomocy nauczyciela.

Oto nowości z pola literackiego w obecnej chwili. Garstka skąpa wprawdzie, ale nie zapominajmy że jest to właśnie pora najmniej pracy umysłowej sprzyjająca, pora w której każdy ogląda się za spoczynkiem, szuka wytchnienia i jeżeli może ucieka z miasta. Dopiero temi dniami, z otwarciem kursu szkolnego, powracają z letnich wycieczek profesoria, a Lwów ożywia się znowu licznym zastępem szkolnej młodzieży.

Od tygodnia mamy już tutaj teatr polski, z powrotem z Czerniowiec i Stanisławowa, a z nim i pierwsze źródło ponętniejszych zimowej pory rozrywek. Dyrekcya zaangażowała z początkiem kursu p. Stanisława Dobrzańskiego, młodego artystę, który od lat dwóch występował na scenach prowincjonalnych i krakowskiej. Jest to młodzieniec rokujący pięknie na przyszłość nadzieje. Wnuk po matce sędziwego Smochowskiego, który przez lat pięćdziesiąt zajmował jedno z najpiękniejszych miejsc na scenie lwowskiej, odziedziczył talent dziada, lubo winnym rodzaju. Smochowski przedstawiał charaktery czarne; młody zaś Dobrzański ma więcej talent komiczny. Występował w ubiegłym tygodniu raz po raz w „Skalmierzankach,” w roli Papkina w „Zemście” Fredry, w roli druciarza wkomedyi Korzeniowskiego „Mizantrop i druciarz” i rzec można że wszystkie te role, widziane już tyle razy na scenie tutejszej, odegrał nietylko skończenie dobrze, ale w każdą z nich wlał cechę samoistnej oryginalności, co o prawdziwym jego świadczy talencie. Zwłaszcza w trudnej roli Papkina umiał utrzymać należytą równowagę w od-

daniu tej nieco przesadnie przez autora skróconej postaci, i uwydatnić przez to właściwą jej komiczność, co nawet doświadczonym artystom niezawsze się udawało. Oprócz występów p. Dobrzańskiego, repertoar nie przyniósł nam jeszcze nowego w krótkim przeciągu czasu od powrotu teatru z letniej wycieczki. Dopiero na drugą połowę tego miesiąca zapowiedziano kilka nowości; pomiędzy temi dwie sztuki młodych, poraz pierwszy w zawodzie dramatycznym występujących autorów, mianowicie komedya „Dwie Zosie” przez Władysława Wróblewskiego i dramat p. Dawida Abramowicza.

S M U T N A.

(OBRAZEK).

Majowy, cichy wieczór szatę z krepy czarnej
Na pierś wrzając miłośnie senną rzucił ziemi;
Wiosennym tchnieniem wiatru ostudził dzień parny,
W górze błysną gwiazd złotych oczyma jasnemi
I roznosił dokoła, na powietrza fali,
Zapach modrych fijołków i białej konwalii.

W saloniku, rozkosznie przybranym kwiatami,
Snadź marzeń cichy anioł zagościł na chwilę,
Strudzony ciągłą strażą nad ludzkimi snami,
Bo cisza w nim zaległa taka, jak w mogile,
Lub jak w sercu wygasł, którego nie wzruszy
Ni złoty obraz nieba, ni widok katuszy.

Błada, smukła, powiewna, z cierpieniem na twarzy
I łzami w jasnych oczach, stoi postać w mroku...
Podobna białej brzozie, co niby na straży
Krzepkich puszczy olbrzymów, samotna, na boku,
W noc miesięczną rzucając długi cień po piaskach,
Kapie listki w księżycu brylantowych blaskach.

To dziewica... jej czoło chmura smutku mroczy,
Pośpny cień żaloby padł na duszę młodą,
Boleści łzami zasły szafirowe oczy,
Jak nieba czysty błękit śmiony niepogoda,
I lśnią blade, och! blade — niby w mgłę dalekiej
Dwie gwiazdeczki, miłością złączone na wieki.

Jedną ręką przyciska do płonącej skroni
Od łez mokrą chusteczkę, a niedbale drugą
Opięra na klawiszach i z pod białej dłoni
Płynie zwolna łkających, rzewnych dźwięków struga,
Jak śpiew mrących łabędzi — łzawa, rozplakana
Nuta cichiej modlitwy do stóp niebios Pana...

I w dźwięki zasłuchany, lazurowo-oki
Cichego smutku anioł przy dziewicy stoi;
Szaty jego błękitne jak latem obłoki,
Jasne czoło mu wieniec cyprysowy stroi,
A niby promyk słońca w chmur czarnych powodzi
Błądy uśmiech mu drżące z bólu usta słodzi.

Twarz zaćmioną cierpieniem i mgłami tęsknoty,
Pełną mroku i światła, zwątpienia i wiary,
Łozjaśnia silnym blaskiem chwały promień złoty,
Ów wianek turniejowy za życie ofiary,
Co krzepiąc serca wiernych, proroczo im wieści
Całe wieki rozkoszy, za chwilę boleści!...
Śnieżne dłonie załamał, stulił skrzydła białe
I ku nieba szafirom łzawe podniósł oczy,
A jako w ciemnej chmurze toną orły śmiałe,
Tak on wzrokiem zatonął w błękitnej przezroczy.

Na smutną twarz dziewicy spojrzął się ciekawie
Przez szyby blade księżyc i w promienne blaski
Ubrał widmem rozpacz drczoną na jawie.

Podobną była wtedy męczennicy świętej,
Którę ciało ból szarpie, a duch mocą łaski
Ku niebu wzbil sweskrzydła, zachwyceniem zdjęty...

Wiktor Gomulicki.

*) Kopią jego drzeworytniczą wkrótce w piśmie naszym zamieścimy. (Trzyp. redak.)

SILNI I SŁABI.

Wzorki w wolnych chwila-
lach wycinane.

(Dalszy ciąg).

Pełen takich i tym podobnych medytacji, wrócił Zygmunt do domu. Książki, interesa, zabawy zmieniały się kolejno, ale nie zdołały wybić mu z pamięci czarownego obrazu Ewy. To postanowił nie wracać już do domu ciotki, to znów tłumaczył sobie że ponieważ niebezpieczeństwa nie przypuszcza, nie ma powodu do takiej wstrzeźliwości.

Zmęczony tym wewnętrznym sporem, późno zasnął i miał jakieś marzenia gorączkowe. Przez dzień znowu napróżno walczył z nasuwającym mu się na oczy obrazem pięknej dziewczyny, i nareszcie pod wieczór zdecydował się zawieźć jej obiecanych kilka książek, jako pomoc do przyszłego egzaminu.

Co Ewa myślała o nowej swojej znajomości, jakie w niej wzbudził uczucie widok Zygmunta? Po pierwszej jego wizycie powiedziała sobie, że nigdy jeszcze nie zdarzyło jej się widzieć tak dobrze wychowanego człowieka; poczuła jakby powiew lepszego świata w zaduchliwej atmosferze jaka ją otaczała i czuła się orzeźwioną, wesolą. Po drugim, bliższym poznaniu rozpamiętywała mężkie przymioty, rozum, powagę, pewność siebie i delikatność pana Zygmunta; wzruszoną była oznakami sympatii, tak niespodzianie na nią spadłymi, i posmutniała nieboga na myśl o swoim podrzędnym stanowisku, które upoważnia ją do jednego tylko uczucia: do wdzięczności.

Nie wiedząc w jaki sposób dać folę temu uczuciu, pieściła pieski pani hrabiny, cierpliwie słuchała jej gderań i jeszcze cierpliwiej prowadziła z nią rozmowę,

RYSONKI HUMORYSTYCZNE

Franciszka Kostrzewskiego.



W oborze.

Ignac. Oj ciolus, ciolus!... jak się to rozbrykało! patrzcie no go!... Niech-no jaby ciebie ozenił, toby ci się odechciało brykać!...

ja rodziny, siedł przez ciemne ulice, z głową zwieszoną, pie-szcząc się obrazem Ewy i łajac się za fantazją, która go do niczego nie doprowadzi.

Takie odwiedziny, takie wal-ki wewnętrzne, powtórzył raz drugi i trzeci; dla odmiany zło-żył wizytę prezesównie-artystce i bawił ją świetnymi opowia-daniami, nasłuchał się jej we-sołych a satyrycznych uwag, ale wyszedł z jakąś czczością umy-słową i nudą. Pretensje panny Laury do arcyzmu i emancy-pacji, nie pokrywały zimnego serca i znudzonej wyobraźni, podniecaniej jedynie nadzieją schwywania bogatego męża. Na-dęta próżność, pragnienie okła-sków i holdów, rażąco odbijały od prostoty i świeżości uczucia, jakie zachowała Ewa.

Wieczory pogadankowe u hrabiny powtarzały się coraz częściej. Zygmunt z nieporów-nanym humorem opowiadał swoją odyseję. Hrabina była zachwycona, przyzwyczaiła się do codziennych odwiedzin ku-zynka, a choć czasem przy-chodziło jej na myśl że nie dla niej Zygmunt rozsypuje tak iskry swego dowcipu, mniej dbała o pobudki, gdy w rezul-tacie uśmieła się serdecznie. Stosunek Zygmunta do Ewy nie zagrażał jej wcale, boć obyty w świecie kuzynek głup-stwa nie robi, a jeśli dziewczyna sobie głowę zawraca, to sama temu winna.

wę, rozwikłując mieszaninę plotek, anegdot, starych wspomnień i uwag obyczajowo-filozoficznych o życiu i stosunkach, w niezmiernie płaskim stylu i z nader ograniczonym horyzontem. Musiała cierpliwie znieść i ostrzeżenie, żeby jej czasem do głowy nie przyszło zakochać się w panu Zigmuncie, dziedzicu tyłu wiosek z przyległościami, mającym do wyboru pomiędzy samym kwiatem warszawskiego towarzystwa, do którego rozumie się i ona (hrabina) należy.

Przybycie wieczorne Zygmunta zadziwiło obiedwie. Zaniepokojona hrabina zaczęła manewra, w celu niedopuszczenia rozmowy dwójga młodych osób. Ewa odbierała tysiączne polecenia, które ją zatrzymywały w odleglejszych pokojach; ale Zygmunt nie dał się tęp odstraszyć; zajął hrabinę rozmową ugrzeczniejszą, tak jakby dla niej jedynie przyszedł, opanował jej umysł, a gdy i Ewa nareszcie przysiadła się z robotą, zapuścił się w opowiadanie szczegółów licznych swoich podróży. Obie kobiety słuchały z niezmiernym zajęciem; Zygmunt opowiadał dobrze, z dowcipem i charakterystyką, snując materyą niewyczerpaną a nową dla obu słuchaczek. Hrabina podróżowała dużo, ale pozostało jej w głowie tylko wspomnienie koteryj i plotek u różnych wód. Ewa wprawdzie czytała wiele opisów podróży, ale opowiadanie żywe mieści tysiączne szczegóły, których w książce nie znajdzie, a porównanie znanych już rzeczy tęp większą jej sprawiało przyjemność. Cóż dopiero tysiączne drobne przygody, niespodzianki, anegdoty o osobach z którymi się spotykał. Paryż, Londyn, Włochy, Niemcy dostarczały mu materyj bez końca. Wieczór zszedł jak jedna chwila. Naiwne pytania jakie czasami rzucała hrabina i poważniejsze wy-badywania Ewy, jakotóż chwilowe dyskusje i uwagi nad opowiadaniem czynione, doprowadziły to małe gronko do pewnej poufałości. Odchodzącego ją koło pół-nocy Zygmunta hrabina prawie błagała, żeby czę-ściej przychodził rozweselać jej samotnię, a Ewa z taką serdecznością i swobodą podziękowała za przynie-sione książki, jakiej nikomu nie okazała ani razu od czasu wstąpienia w te progi.

I znów nasz młody znakomity człowiek, nadzie-

Czasami napotykał Zygmunt trochę większe to-warzystwo, wtedy był milczący, ceremonialny i starał się wynosić jaknajprędzej. Raz zastał w takim kółku Ewę przy fortepianie. Grała biele, ale machi-nalnie, prawie bez uczucia. Sypała po kolei kontre-danse, polki, potpourri, fantazyje, błyskotliwe warya-cye, słowem cały program obładowanej muzyką gu-wernantki. Zygmunt sam był trochę muzykalny, słyszał wiele i dobrych rzeczy, miał gust wykształ-cony i teoretyczną znajomość sztuki; zdziwił się więc nieco, gdy w muzyce Ewy nie dostrzegł niczego, prócz biegłości mechanicznej. Na prośby jego, aby wybra-ła jaki utwór poważniejszy, odpowiedziała z pewnym zaambarasowaniem: „Nie umiem”. Poprzestał Zy-gmunt na tęp odpowiedzi, ale jej nie uwierzył. Ewa tęp niebawem wstała od fortepianu.

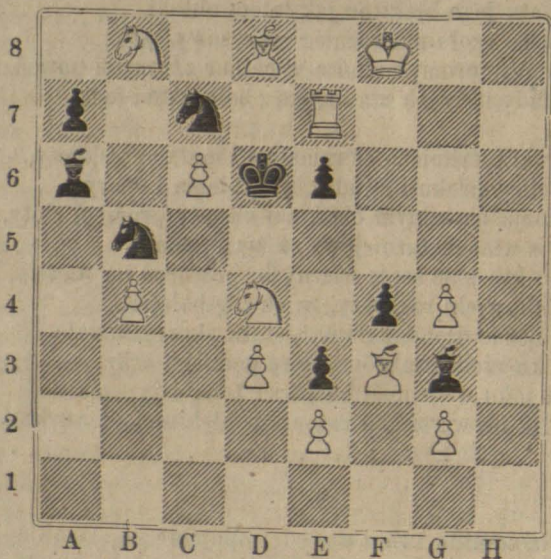
(Ob. dodatek.)

Szachy.

ZADANIE XXXI.

Białe zaczynają i dają mata za 4-ém posunięciem

Czarne.



Białe.

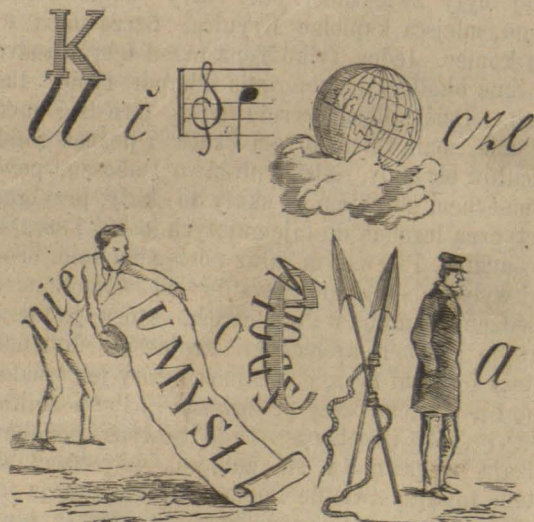
Rozwiązanie zadania szachowego Nr. 30.

Białe.

Czarne.

- 1) G5—G6 1) D5—C6 lub E4.
- 2) G6—G7 2) —D5.
- 3) G7—G8 (koń) . . . 3) D5—C6 lub E4.
- 4) G8—E7 lub F6 + i mat.

Rebus.



Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 38.

Kara, piki i walety, bezik, diabelek i ruleta są boży-szczami młodzi naszój, co je zna i chodzi na nie.

(Dodatek.)

W kilka dni po owej muzykalno-plotkarskiej zabawie, zjawiał się Zygmunt znowu wieczorem, a zastawszy samą tylko hrabinę i Ewę, przystąpił do re-wizji nót na fortepianie. Pomiedzy zapasem nagromadzonym przez hrabinę, znalazł tam i nóty które Ewa ze sobą przywiozła: Mozart, Weber, Schumann, Szopen mieścili się tu pośród różnych Morceaux de salon. Mimo lekkiej opozycji hrabiny, która słyszała już kilka razy Ewę grającą rzeczy poważne i upewniała że to wszystko przestarzałe i nudne, musiała Ewa sięść do fortepianu. Z początku trochę lekliwa, niepewna, wkrótce przejęła się głębokością utworów które wykonywała i grała z prawdziwym poczuciem. Zygmunt wsparty oporecz fotelu w którym zasiadł naprzeciw fortepianu, zagłębił się w marzenia. Przypomniały mu się tętne jakimi w młodości serce jego uderzało, oburzył się przeciw skorupie lodu, która je od tego czasu obległa, dziwił się że mógł tak długo żyć życiem ślimaczo obrachowanym; jedna chwila prawdziwego, głębokiego uczucia wyłała mu się cenniejszą, od długich lat życia w sztucznej atmosferze jaką sobie wytworzył: patrzył, słuchał, i... był szczęśliwy.

— Dziękuję pani, rzekł przystępując wzruszony, gdy Ewa skończyła. Ten wieczór nazawsze zostanie mi w pamięci.

Ewa spojrzała mu w oczy z otwartością, mającą coś dziecięcego. Było zapytanie w tém spojrzeniu, ale nie było niewiary. Milcząc, podali sobie dłonie.

Od tego czasu namiętność Ewy rosła szybko. Po całych dniach chodziła pogrążona w dumaniu, z którego nie mógł jęj otrzeźwić nawet szyderczy głos hrabiny. Czula wzmagające się nieznanne dotąd uczucie, a stan ten naprzemian dręczył ją i uszczęśliwiał. Szczęśliwa była, bo każde czyste miłości uczucie jest szczęściem; dręczyła się, bo jeszcze nie była pewną miłości Zygmunta, choć ją przypuszczała, bo także nie tała sobie ogromnych trudności, jakie ich połączeniu się musiałyby stanąć na przeszkodzie. Pierwszą już próbę miała z postępowania hrabiny, która nie szczędziła jęj najprzykrzejszych wymówek i obelg za *bałamucenie* Zygmunta, nieledwie że *uwiedzenie* chciała powiedzieć.

X.

— Jeszcze się będzie uczyć, jeszcze egzamin składać, mruzczał sobie pod nosem pan Jan, chodząc szerokimi krokami po pustej izbie. Do diabła, mało jeszcze umieć! Mieszka u hrabiny, to tam jeszcze większych tonów nabierze, albo się i wyda za kogo: toć tam ludzie bywają. Upodoba sobie jakiego elegancika, a ty, głupi rzemieślnik, zostaniesz sam w swojej ciupie. Bo ei się też i tak należy; zachciało ci się szlachcianki, guwernantki, wielkiej damy.

A może wróci wkrótce do matki z tęg wyprawą, ocaleje od konkurentów? To i cóż? Czy jest we mnie co takiego, żebym jęj się mógł podobać? Głupstwo i kwita! Lepiejbym wiązał spokojnie belki i wybił sobie bałamuctwo z głowy.

Gdybym miał czas i pieniądze dla profesorów, jeszczebym się mógł okrzesać jako tako. Ale i to na próżno. Od małego trzeba się uczyć, a nie na starość. Co to cieśla uczony! Tylkobym sobie przewrócił w głowie. Niech lepiej zostanę takim jakim jestem.

Udręczywszy się tak w ponurych dumaniach przez kilka godzin, wziął Jan za książkę daną mu do czytania. Byłto, jak już wiadomo, życiorys i wybór pism Franklina. Traf znowu szczęśliwie posłużył Bieniakowi; jakieś tchnienie przyjazne pokierowało myślą pani Strzemińskiej, gdy ten wybór zrobiła. Jeżeli pierwsza książka rozbudziła uśpioną dotąd wyobraźnię Jana, uszlachetniła uczucie, wskazała wyższe cele człowieka, to ta, w dzisiejszym zwątpieniu, upadku ducha, podniosła jego wolę, wskazała środki. Więc to ten prosty rzemieślnik bez szkoły, bez niczyjej pomocy, wykształcił się i takich znakomitych rzeczy dokonał? Więc to on pisał książki, tak mądrze uczył drugich jak mają żyć na świecie i znalazł tyle pożytecznych rzeczy? Jego cały świat sławi, a ja nie miałbym nawet do tego doprowadzić, żeby się dziewczynie spodobać? Tfu!

Zerwał się Jan z wąskiego i twardego łóżka na którym czytał i prawie w gorączce biegał po pokoju.

— Ona nie kocha mnie i nie może pokochać takim jakim jestem; ale czyż ja zmienić się nie mogę? Dużaby trzeba przebieżyć drogę, zacząć życie nanowo, co prawie niepodobna. A jednak i niepodobne rzeczy ludzie wykonywają. Dlaczegożby nie miał zacząć uczyć się choć późno? Opuszczę się prawda w rzemiośle, nie zrobię majątku; ale choćbym miał pieniądze, ona nie wyjdzie za mnie. Uczyć się samemu, nie każdy potrafi — będę błakał się jak w lesie. Niekażdy taki jak Franklin sposobny; to już coś w nim takiego było. Ale zresztą, choćbym nie został taki uczony jak on, to i tak wyszedłbym jeszcze na człowieka... Tylko jak tu się wziąć do tego? od czego zacząć? co czytać?... Możeby się ich na dole poradzić? Nie, nie można kobietom w naukę się oddawać. Chyba się ze starym Puchalskim naradzę; on mnie wykiepował na człowieka, to i teraz mi da radę. Tylko że jemu się to wyda niepotrzebne, powie że zawysoko sięgam, że na cieśle umiem dosyć i nie mam co dalej czasu marnować.

Na takich myślach przepędziwszy większą część nocy, wyszedł Bieniak skoro świt do swego zatrudnienia, niepewny jeszcze co do środków, ale z silnym postanowieniem otwarcia sobie drogi do świata umysłowego. Zwrócił swe kroki, jak codziennie rano, do zakładu ciesielskiego swego majstra i opiekuna, pana Puchalskiego.

Przy ulicy Ogrodowej, na obszernym dziedzińcu, zastawionym zrębami różnych pozaczynanych ciesielskich robót, przeznaczonych do przeniesienia potem na właściwe miejsce, kręciło się już kilku robotników, a między nimi siwy ale czerstwy i krzepki pan Puchalski. Był to człowiek doskonale znający swoje rzemiośle, zresztą niewielkiej nauki, ale pełen zdrowego rozsądku, praktycznego na świat poglądu, a nade wszystko nieposzlakowanej poczciwości. Pracy oddawał się z prawdziwym zamiłowaniem. Kto widział go od rana do wieczora zajętego swoim dziedzińcem i kilkoma fabrykami które miał w mieście, ten mógł go posądzić o chciwość; kto jednak patrzył na jego uczynność i gotowość do rady i pomocy każdemu jęj potrzebującemu, ten musiał nazawsze zachować szacunek dla człowieka z pozorów tak goiliwie swój interes tylko mającego na widoku. Przytém pełen był zawsze dobrego humoru i rubasznych konceptów.

— Dzień dobry, rzekł do zbliżającego się Bieniaka. Trzeba będzie dziś zabrać te tu podciąg na plac Warecki. Jak tylko się ludzie zgromadzą, to każ ładować, bo ja zaraz pójdę na Leszno.

Tak dając dyspozycją, postąpił ku belkom ociosanym, mierzając je i znaki robiąc krędą.

— Ale, mam ci jedną rzecz powiedzieć. Od kilku tygodni pracuje tam u mnie na Lesznie jakiś młody, były urzędnik, nazwiskiem Wolski. Widzę że się szczerze chwycił topora i hebla, a że człowiek ukształcony, to może mieć z tego chleb. Trzeba żeby się obeznał z robotami jakie są u ciebie; zabierz go tam dzisiaj na plac Warecki i pokieruj nim. Ale oto i on idzie.

Józef, w prostej bluzie robotnika, z ogorzałą już twarzą i rękami, zbliżył się i wesoło powitał Puchalskiego.

— A co panie, jakże smakuje topór po piórze? zapytał Puchalski.

— Doskonale, odrzekł Józef, a szczególnie dobre są obok siebie jedno i drugie.

— Prawda. Otóż, mój dobrodzieju, teraz trza Leszno porzucić. Ale na placu Wareckim są ładne roboty. Pan Bieniak powie tam panu co i jak masz robić, dodał, wskazując na swego podmajstrzego.

— Dziękuję że pan tak o mnie pamiętasz, rzekł Józef.

— Myślę że to najlepiej będzie. Jesteście obaj młodzi i dobrzy chłopcy, to łatwo się porozumięcie.

— Bardzo pragnę tego, rzekł Józef, podając rękę Bieniakowi, który ją przyjął w milczeniu, rozbięrając w myśli, czy mu ta nowa znajomość jakiej pomocy w jego planach nie przyniesie.

Zostawszy sam z Józefem, Bieniak rzucił mu kilka pytań, dotyczących czasu od jakiego poświęcił się ciesielstwu i robót jakie dotąd wykonywał, a gdy przybyli na plac Warecki, poprowadził go do jednej

partyi robotników, wskazał zajęcie i odszedł na inne stanowisko.

Tak zeszło kilka dni z rzędu, a stosunki dwóch młodych ludzi nie posunęły się po za granicę powierzchownej, urzędowej znajomości. Józef przychodził o świecie i według wskazań Bieniaka pracował dni całe. Wesołość, swoboda, ujmujące koleżeństwo z robotnikami, przy zachowaniu godności ukształconego człowieka, jednały mu serca wszystkich. Stopniowo nikła nieufność względem surdutowego towarzysza, gdy widziano że pracował szczerze, również śmiał się szczerze z towarzyszami, że mówił poprostu, zrozumiale, bez widocznego zamiaru moralizowania, a jednak zawsze rozumnie.

Zresztą Józef najczęściej do gawędki obierał albo samo rzemiośle którym się zajmowali, dając tém towarzyszom sposobność błysnięcia swojami wiadomościami, albo sypał dykteryjki, anegdutki o ludziach i rzeczach, budzące ciekawość, zaostojające władze umysłowe i ukrzepiające dobre stosunki. W szczególnych tylko razach, najczęściej na wyraźne żądanie, roztrząsał jakie ważniejsze kwestye, dawał rady i nauki moralne, lub objaśniał jakie fakta naukowe. Mawiał wtedy stanowczo, jak nauczyciel, ale tęg to było tylko na wyraźne żądanie, lub w jakich wyjątkowych okolicznościach.

Pełne to było ruchu, pracy, swobody i wesołości życie. Niepodległy umysł Józefa zagustował w niem prędko. Tak mu dobrze było śród hałasu toporów, pił, heblów, wind i okrzyków towarzyszących wspólnej ciężkiej pracy! tak swobodnie pośród tych prostych, szczerych umysłów, grzeszących wprawdzie nieświadomością i nałogami będącemi jęj następstwem, ale łatwo uznających swoje błędy, chciwych karmi umysłowej, byleby łatwo przyswoić się dała. Włożywszy się raz do pracy, Józef pędził najprzyjemniejsze dni w świecie. Zręczność i wprawę wkrótce rozwinął tak, iż był jednym z najlepszych robotników. Za szczupłe dzienne wynagrodzenie jakie pobierał, przyłączone do zapasu kilkuset złotych które przywiozł ze sobą, mógł już utrzymać się od biedy. A kiedy wieczorem wracał do domu z roboty, dziwił się że tak łatwym sposobem można być spokojnym i szczęśliwym, o ile szczęście jest udziałem człowieka.

Bieniak pragnął się zbliżyć do Józefa, spróbować czy z tęg strony nie uzyska jakiej rady i pomocy; ale nieufny i odludkowy jego umysł utrzymywał go jakiś czas na uboczu. Cierpki, zamknięty w sobie, małowówny, czasem nawet przykry dla robotników, nie umiał zawiązać poufalszych stosunków. Przysłuchiwał się z daleka wesołemu gwarzeniu Józefa, jego swobodnym żartom i szczerzej wesołości. W pierwszej chwili takie koleżeństwo człowieka wykształconego z prostaczkami, takie bratanie się naprowadzało go na myśl, że to jakiś wyższego tonu ladaco, wypędzony ze służby, lub odrzucony, od rodziny i grzęznący powoli w gmin. Nawet już mu się zdarzało spotykać podobne indywidua. Niebawem jednak spostrzegł, że dobry humor i koleżeństwo nowego ucznia ciesielskiego nigdy nie wpadają w gminność, że w jego pozornie bezmyślnych facecyach i pogadankach, tkwi zawsze myśl moralna i zdrowa, a niektóre objaśnienia o przyrodzie i jęj zjawiskach, lub o ludziach i społeczeństwie, znamionują gruntowne ukształcenie. Zaciekawil go ów przybysz do tego stopnia, że pobiegł do Puchalskiego po bliższe szczegóły. Niewiele więcej się dowiedział; majster znał Józefa dopiero od kilku tygodni, poznał go jednak i polubił już o tyle, iż nie szczędził dla niego szczerych pochwał i wierzył że z pewnością na dzielnego majstra się wyrobi.

— To chłopiec co ma rozum i charakter, mości dobrodzieju. Zamiast wędnać gdzie przy biurku, woli torować sobie inną drogę. Nie dlatego on chwycił za ciesielkę, iżby już nic innego znaleźć nie potrafił, ale że uważa ten chleb za lepszy od innych. I ma rozum tęg, kiedy mu nauka nie zawróciła głowy, kiedy się poznał na naszym ukochanym rzemiośle, a fupy szlacheckie nie stanęły mu na zawadzie.

— Dobrze, pomyślał Bieniak, trzeba to będzie jakoś zbliżyć się do tego panicza; może mi go Bóg zesłał.

Na drugi dzień w południe, gdy robotnicy zaczęli się rozchodzić, lub zasiadłszy na balach, pożywali

strawę, którą im przyniosły kobiety, gdy i Józef zabrał się do wyjścia, przystąpił do niego Bieniak.

— No, jakże, czy panu nie przykry się nasza robota?

— Gdzież tam, przeciwnie; żadna na świecie tak mi się nie podobała.

— Tak, praca to ciężka, ale miła i zyskowna. I ja dziękuję Bogu, że mi dał szczęśliwie nauczyć się wszystkiego co do tego rzemiosła należy. Mój ojciec także był cieślą.

— Musiał być tegi człowiek, kiedy pana tak dobrze pokierował, że już możesz fabrykę zarządzać.

— Bogiem a prawdą, nie jemu to winienem. Odumarł mnie za młodu. Pan Puchalski, to mój dobroczyńca, jemu całą naukę zawdzięczam; to mój drugi ojciec.

— Zaczny człowiek, cieszę się, że się udał do niego po naukę.

— Ha, pan taki uczony, więc kiedy się nie lenisz do twardej pracy, to niezadługo będziesz umiał więcej odemnie.

— W każdym razie spodziewam się, że będziesz mi pan pomagał na tej drodze.

— Czém tylko będę mógł, rzekł Bieniak, podając mu rękę.

Tak rozmawiając, dwaj młodzi ludzie doszli do rogu ulicy.

— Idziesz pan w tę stronę? rzekł Bieniak, odprowadzając pana trochę.

Józef uprzejmie przyjął tę propozycję.

Kilka kroków uszli w milczeniu, gdy Bieniak, przystępując odrazu do przedmiotu który miał ciągle na myśli, rzucił zapytanie:

— Czy pan czytał *Życie Franklina*?

— Czytałem, odrzekł Józef; to jedna z najlepszych książek. Bardzo nauczająca.

— Jak pan sądzisz, czy każdy kto chce silnie, potrafi tak dużo z siebie zrobić, czy też Franklin był taki nadzwyczajny człowiek, że jemu tylko to udało się mogło?

— Hm, już ci nie każdy zrobi tyle co Franklin, choćby najbardziej się uznał; ale to pewna, że każdy bardzo wiele może zrobić dobrego dla siebie i dla innych, byle tylko miał silną wolę.

— Bardzo dobrze pan mówisz; mnie też tak to się zdawało. Dlaczegoż jednak ludzie go nie naśladowują? Przecież niejedni muszą czytać tę książkę.

— Ażeby naśladować Franklina, trzeba mieć zdrowy rozum i niezłomną wolę. Widać że mało jest ludzi, posiadających razem jedno i drugie.

— Pan więc sądzisz, że własną pracą, czytaniem, można dużo się nauczyć bez pomocy szkół i nauczycieli? Bo Franklin tak robił.

— Niezawodnie można, chociaż to daleko trudniej; tę trudność właśnie łamię silna wola, a zdrowy rozum pokazuje, czy książka warta czytania, czy też ją odrzucić należy. Widzę że pan masz ochotę pracować jeszcze nad sobą. To bardzo dobry pomysł; wieszuję go panu i upewniam, że niezmiernie dużo skorzystasz. Chciój tylko wytrwale.

— O chcenie mniejsza, rzekł Bieniak, machnąwszy ręką pogardliwie.

— Więcej oczas chodzi, zauważył jego towarzysz. Teraz dni coraz dłuższe, a robota nuży; kiedyż tu czytać?

— Będę choć wieczorami czytywał, choćby naraz tylko jedną stronicę, to mi już da na cały dzień przedmiot do myślenia.

Silny charakter tego człowieka głęboko ujął Józefa. Spojrzał w jego rezolutne, poważne oczy i powiedział:

— Chcesz pan, to będę ci pomagał z całego serca. Ja dużo czytałem.

Bieniak serdecznie ścisnął go za rękę i rzekł:

— Bóg panu nagrodi.

Sojusz został zawarty. Od tego czasu młodzi przyjaciele zawsze byli razem. Krótkie chwile wypoczynku przepędzali na roztrząsaniu najrozmaitszych zadań naukowych, które im nastęrczały bądź książki wyboru Józefa, bądź wrażenia czerpane z otaczających przedmiotów. Józef wziął sobie za cel najprzód oznajomić Bieniaka z własnościami przyrody, bądź dla dania mu podstawy naukowej i zrobienia z niego specjalisty w wyższym znaczeniu tego wyrazu, bądź dla rozszerzenia sfery jego wyobrażeń

odśrodkowo, to jest wychodząc z punktu o którym miał wyraźne, ustalone pojęcia. Pozornie lekcje te wyglądały na przypadkowo wywołane pogadanki o tém lub owém; nie dał się jednak Józef zbici z systemu bezładnymi pytaniami Bieniaka: rzeczy należące natem do wykładu zbywał krótko i zrzęcznie zwracał na szlak obrany.

Często po skończonej dzienniej pracy, w pogodny wiosenny wieczór, przesiadali długo samotnie wśród zrębu niedokończonego budynku. Gwiazdziste niebo wywoływało popularne lekcje kosmografii; chmury przeciągające, wiatr szumiący z daleka, dawały pochop do rozpraw o fizyce i meteorologii; światła błyszczące zdala, głosy dochodzące z ulicy zawiązywały rzecz o optyce i akustyce; sama budowla dostarczała materii do mechaniki, technologii, chemii i mineralogii. We dnie w godzinach południowych, a czasem i przy blasku księżyca, kręśliłi na murze figury geometryczne, plany lub mapy objaśniające przedmiot. Słowem praca umysłowa była jedynym wypoczynkiem od pracy fizycznej, a praca fizyczna jedynym wytchnieniem po pracy umysłowej. Do czytania trudno było Bieniakowi przystąpić, ledwie mu bowiem kilka godzin pozostawało na spoczynek; ale wykłady Józefa nieskończenie więcej korzyści mu przynosiły, niżby mogło czytanie.

Sasiadki swoje ledwie w święta odwiedzał Bieniak na chwilę. Miłość jego dla Ewy ze stanu gwałtowności, przeszła w melancholijne usposobienie; marzył o niej jak o gwiazdzie dalekiej, martwił się gdy przyszła chwila zadumy, ale był dość spokojny.

Z Józefem coraz ściślej łączył się nietylko wdzięcznością za tak szlachetnie podaną pomoc, ale i pewnym podobieństwem charakteru. Nawzajem Józef z prawdziwym zamiłowaniem wziął się do rozwijania tej nawpół dzikiej, potężnej natury. Bieniak pojmował nader szybko, ogarniał cały przedmiot i tak utrwał go sobie w pamięci, że mógł ze wszystkimi szczegółami powtarzać zawsze to co raz słyssał. Rozległy widok, codzien szerzej przed nim się otwierający, wprawiał go w pewien rodzaj entuzjazmu i znacznie łagodził burzliwe dla Ewy uczucia. Nie mógł wprawdzie tego przenieść na siebie, żeby czasem nie wyrwać się na chwilę z towarzystwa Józefa i nie pobiedz na ulicę Królewską, przed dom który zamieszkiwała Ewa; ale obowiązek prędko zaganiał go do pracy, a zamiłowanie wiedzy znowu rzucało go pod ferulę przyjaciela. Już teraz naukę nie za środek tylko, ale za cel uważał: czuł że rość duchem i sercem, i to chroniło go od rozpacz.

Ze swjej strony starał się odwzajemnić Józefowi, pomagając mu wszelkimi siłami w nabyciu teorii i praktyki ciesielskiej. Niezmiernie go to cieszyło, że miał czém płacić za otrzymane dary. Rolę nauczyciela i ucznia zmieniali między sobą po kilka razy na dzień, a żadna strona nie czuła upokorzenia. Stosunek ten wyrodził prawdziwą przyjaźń między nimi; po tygodniu przepędzonym w ten sposób mówili sobie *ty*.

Józef trwał ciągle w przekonaniu, że czysta żądza nauki objęła Bieniaka, który skryty z natury, mimo wielokrotnych pokus, nie wynurzył swego serca przyjacielowi. Drczyło go to niezmiernie, czuł potrzebę powiernika, jak każdy zakochany, ale poprostu bał się Józefa, bał się jego ścisłego, poważnego umysłu, zachowującego w poufałości delikatność i w żartach samych ton dobry.

Józef, rozumie się, traktował swego ucznia jako dorosłego, szczególnie dając do wprawiania go w ścisłe rozumowanie. Nie na imaginacją jego uderzał, ale odnosił się do rozumu, rozwijając przed nim szereg faktów ściśle połączonych ze sobą, stanowiących organiczną całość, jak cegiełki budowli. Nie obeszło się bez tego, żeby nie rozwiązał, nie zniweczył wielu jego złudzeń, a czynił to szorstką ręką, bez żadnego względu na wstrząśnienia, jakich musiał doznawać duchowy organizm Jana przy takiej operacji. Cóż więc dziwnego, że Bieniak czuł wstręt tajemny do poddania swoich miłosnych marzeń pod tak nielitościwe razy logiki. A możeby się z nich nic nie pozostało, po precedzeniu przez silną tknię rozumowania?

Interesów materialnych nie zaniedbywano jednak wcale dla nauki. Józefa obowiązki w tej mierze ograniczały się na przechodzeniu od jednej roboty do drugiej, według wskazań Bieniaka, dla dokładnego

poznania każdej; ale Jan, obok kierowania całą fabryką ciesielską, musiał starać się o urządzenie swjej przyszłości, o wpis w poczet majstrów, założenie własnego warsztatu i zapewnienie sobie roboty na początek, co odrywało go czasem od zwykłego dziennego trybu, robiło ujmę nauce, a tém bardziej nie dopuszczało wynurzań serdecznych.

Tak przyszedł środek lata i dwaj młodzi towarzysze, coraz większym zapałem nauki rozgrzani, a coraz więcej napotykający przeszkód, pocieszali się tylko nadzieją zbierania obfitych naukowych plonów, za nastąpieniem długich wieczorów jesiennych.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Rozmaitości.

Dolina Szwajcarska w Warszawie.

Ulubiona to przechadzka Warszawian, zwłaszcza kiedy tam grywa Bilsa ze swoim towarzystwem, a właściwie nawet całą swoją wziętość zawdzięcza ona tej znakomitej orkiestrze.

Dolina Szwajcarska, przez lat kilkadziesiąt aż do dni naszych, była tylko osianym, w parowie położonym ogródkiem, gdzie latem muzyka grywała, a zwiędzający niewiele mieli przestrzeni do przechadzki i ławek do siedzenia. Drzewek i kwiatów było także mało, miejsca oszczędnie, zieloności i powietrza skąpo, kurzu podostatkiem podczas suszy, a wilgoci w dniach dżdżystych.

Ale że Warszawianie mieli zdawna upodobanie do ścieśnionych miejscowości, bywało tu więc niekiedy tłumnio i gwarno, pomimo kłębow dymu z cygar i wcale nieświeżego powietrza.

Zwykle wieczorem, szczególnie w dnie świąteczne, obudzała się Dolina do życia, które czasem długo w noc się przeciągało.

Dziś przez nowego właściciela rozszerzoną, upiększoną i zupełnie przetworzoną została, a zaprowadzone zmiany po ukończeniu zatrą niewątpliwie ślady dawnego jej stanu.

Przeszłość zatem Szwajcarskiej doliny już należy do historii, która sięgając dalej, ma jeszcze poważniejsze dla tego miejsca wspomnienie.

Oto niedawno upłynęła stuletnia rocznica, kiedy w r. 1768 dnia 14 sierpnia rząd ówczesny, uznając potrzebę kształcenia w językach greckim i starosłowiańskim osiadłej w znacznej liczbie młodzieży ruskiej w Warszawie, wydał przywilej nadający oo. bazylianom na własność gruntu i place obecnie przez Dolinę Szwajcarską zajmowane, które wtedy do Ujazdowa należały. W moc tego miały tu stanąć kościoł i szkoły z konwiktem na dwunastu uczniów bezpłatnie wychowywanych, przywiedzenie zaś tego wszystkiego do skutku powierzono księżom metrofanowi Komarkiewiczowi teologowi królewskiemu i Justynowi Libuzy prokuratorowi zakonu św. Bazylego.

Kierunek robót około zamierzanj budowli objął pierwszy i zrazu rączo wziął się do dzieła. Potrzebne pieniądze dał w części król, w części zaś przekazano w tym celu różne summy duchowne, a wreszcie pozwolono i na zbieranie składek. Ale gdy trudno było summy te z różnych rąk wycofać, składki zaś leniwo wpływały, ks. Komarkiewicz z zebranymi funduszami puścił się na spekulację, w nadziei że z zysków wyciągnionych łatwiej wydatki fabryki pokryje. Rozpoczął więc tutaj handlować drzewem, cegłą, wapnem i innymi przedmiotami z rozmaitem powodzeniem, jak to zwykle bywa w handlu.

Jednocześnie założył fundamenta pod wyżj wspomniane gmachy, które uroczyste poświęcone zostały, i mury wyprowadził znacznie ponad ziemię.

Tymczasem obroty ks. Komarkiewicza znalazły przeciwników, którzy, słusznie czy niesłusznie, podejrzewając jego czynności, stawiali mu przeszkody i utrudniali postęp roboty.

Wlokła się więc fabryka nieszczęśliwie, a ze śmiercią kierownika i fundacya całkiem upadła, tak iż ostatecznie w r. 1784 ks. Adryan Andraszkievicz prokurator bazylianów, w imieniu zakonu działający, urzędownie odstąpił nadanych mu przywilejów i wziąwszy za przygotowane materiały 6000 złp., z wszelkich pretensyj skarb królewski skwitował.

Ależ, mamoo...
 KLARA.
 TURKALSKA.
 Cicho bądź!
 (stając przy stoliku, do Lubicza).
 Pióro... niech pan raczy
 Przejrzeć to i podpisać... tu...
 LUBICZ.
 Pani wybacz,
 Lecz i ja, dobrem syna zajęty jedynie,
 Mówiłem z nim; z rozmowy smutny wniosek czynię,
 Że się rozpierchły moje serdeczne zamiary.
 TURKALSKA.
 Jakto?
 LUBICZ.
 Zdzisław nie kocha pięknej panny Klary.
 TURKALSKA.
 Wszak ją tylko co jeszcze...
 LUBICZ.
 Miłość, to rzecz chwili.
 TURKALSKA.
 Jesteś pan, jak na wiek swój, zanadto motyli.
 Czy pan ze mnie żartujesz?
 LUBICZ.
 Mogę zmuszać syna?
 Wierz mi pani, to dla mnie samego zmartwienie,
 Ale cóż na to począć?
 ZDZISŁAW na stronie.
 Sposobność jedyna.
 LUBICZ, do syna.
 Ty sam powiedz, Zdzisławie!
 ZDZISŁAW, z wybuchem.
 Kocham ją szalenie!
 LUBICZ, zdumiony.
 Hej?
 TURKALSKA, z tryumfem.
 A co!
 LUBICZ, rozgniewany.
 To nieprawda!
 TURKALSKA.
 Skoroć sam powiada...
 LUBICZ.
 On to mówi przez bojaźń.
 TURKALSKA.
 Panie, trudna rada!
 Zgodę i związek z panem ja wysoko cenię;
 Skoro Zdzisław nas kocha, godna jemu wiara,
 I jego również kocha bardzo moja Klara.
 (do córki)
 Nieprawdaż Klarcu? pytam o to ciebie samą.
 Odpowiedz!
 KLARA, na stronie.
 Dobra pora!
 (głośno)
 O, nie! moja mamoo!
 TURKALSKA, zdumiona.
 Hej!
 LUBICZ, z tryumfem.
 A co!
 ZDZISŁAW, z boleścią.
 Ah!
 TURKALSKA, z gniewem.
 To kłamstwo!
 KLARA, na stronie.
 Małżeństwo uciekło!
 TURKALSKA.
 Ona mówi przez bojaźń.
 LUBICZ.
 Nie pani.
 TURKALSKA, na stronie.
 O, piekło!
 (do córki)
 Ah, ty szkaradna!

LUBICZ, poważnie.
 Niechże pani się przekona,
 Że nie my rozerwania przyczyną, — lecz ona.
 Panny Klary odmowa nas głęboko rani,
 Więc szanując me słowo... odbieram je pani.
 TURKALSKA.
 Ależ...
 LUBICZ.
 Smutny odchodzę po takiej nauce,
 Lecz na to nie poradzę.
 (do syna)
 Pójdź.
 ZDZISŁAW, odchodząc, spogląda na Klarę.
 Ja tu powrócę!
 (Wychodzi z ojcem).
Scena 10.
 TURKALSKA, KLARA.
 TURKALSKA, w rozstrojeniu.
 Przegrywam proces, trzeba myśleć o odwrocie,
 Bo on gotów go wygrać, dzięki jej głupocie.
 (zmieniając ton).
 Ty pójdiesz za Zdzisława, prawda?
 KLARA, stanowczo.
 Żadną miarą!
 TURKALSKA, gniewnie.
 Cicho mi bądź!
 (zmieniając ton)
 Nie żądam bym umarła, Klaro!
 KLARA.
 Więc ja mam...
 TURKALSKA, gniewnie.
 Cicho!
 (zmieniając ton)
 Chcesz mi do żywego dopiec?
 I czemuż go nie kochasz? wszak to miły chłopiec.
 KLARA, z przekąsem.
 Zamiły!
 TURKALSKA.
 Grzeczny.
 KLARA.
 Zimny.
 TURKALSKA.
 Przecież dobra głowa.
 KLARA.
 Sztynny.
 TURKALSKA.
 Rozsądny.
 KLARA.
 Nudny.
 TURKALSKA.
 Dobry syn.
 KLARA.
 Niemowa!
 TURKALSKA.
 Więc przy tylu zaletach, zważ, moja kochana,
 Jak go nie kochać?
 KLARA.
 Kocham kuzynka Juliana.
 TURKALSKA.
 Juliana i Juliana...
 (z postanowieniem)
 Skoro tak, więc brawo!
 Musiemy raz już skończyć z tą przekłętą sprawą.
 Chciałam od smutnych wrażeń ochronić twą duszę
 Lecz gdy idziesz uporem, wyjawić ci muszę,
 Straszne rozczarowanie ten list ci obwieści.
 (ukazuje list).
 KLARA, zatrwożona.
 Powiedz, mamoo, niepewność gorsza od boleści.
 TURKALSKA.
 Czy ty go kochasz?
 KLARA.
 Kocham.
 TURKALSKA, z uczuciem.
 Biedneż moje dziecię!
 Toż przygotuj się na cios najdotkliwszy w świecie,
 Katastrofa, oh! której nic już nie odmieni!
 KLARA, w niecierpliwym przerażeniu.
 Mamoo, dokończ, na Boga!

TURKALSKA.
 Twój Julian się żeni!
 KLARA, z boleścią.
 TURKALSKA.
 Pójdź w me objęcia, córko ukochana!
 KLARA.
 To fałsz!... to ktoś oczernił mego Juliana!
 TURKALSKA.
 Nie; on się już ożenił... wszystko powiem, Klaro...
 Co gorsza... dla pieniędzy... z jakąś brzydką... starą.
 KLARA.
 Czy tak?... to mi go niezał...
 TURKALSKA.
 Ależ oczywiście...
 Własny ojciec to wszystko opisał mi w liście.
 (podaje jej list)
 Przeczytaj. Ojciec całą opierał się siłą,
 Lecz Julian pełnoletni, prawo mu służyło.
 KLARA, z oburzeniem
 I prawo upoważnia takie bezceństwo?!
 (rzuca list)
 TURKALSKA.
 Cóż robić?... Ale z tobą zerwane małżeństwo.
 KLARA.
 Niechże będzie ze swoją matroną szczęśliwy.
 Winszuję mu!...
 TURKALSKA.
 Wybornie!
 KLARA.
 Kłamca!
 TURKALSKA.
 Niegodziwy!
 KLARA.
 Sprzedać się za pieniądze!
 TURKALSKA, na stronie.
 Górą moja sprawa!
 (do córki)
 Więc go nie kochasz?
 KLARA.
 Nie!
 TURKALSKA.
 I pójdiesz za Zdzisława?
 KLARA.
 Pójdę.
 TURKALSKA.
 A widzisz, ja ci zawsze dobrze życzę.
 Pociesz się, otrzyj łezki i wypromień czoło.
 Zobaczą ja tymczasem co robią Lubicze.
 (odchodząc)
 Wspomnisz mnie, jak za miesiąc będzie ci wesoło!
Scena 11.
 KLARA, sama, bardzo wzburzona.
 Za miesiąc!... Co za miesiąc!
 (szarpie ubranie)
 Jam dziś już wesoła.
 (z płaczem, a niby wesoło)
 Nie mego wesela wyrazić nie zdoła!
 Żenić się z starą babą! O, kłamca wcielony!
 A klękał, a przysięgał, a prawil androny;
 Zdawało się, że gotów na wszelkie ofiary,
 A dziś dla niego piędz artykułem wiary!
 Więc i ja pójdę za męża, zaraz, dziś, w tej chwili!
 Nie kocham go już, zbrzydł mi, a żal się przesili.
 Matka ma słuszność: Zdzisław jest wcale przystojny.
 Mniejsza, że na młodego troszkę za... spokojny;
 Toż lepiej milczeć, niżli kłamać dla zabawy...
 Nos ma troszkę zadługi, lecz charakter prawy.
 (z gniewem)
 Tak! ma charakter. Wyjdę za niego co żywo!
 (gwałtownie)
 Zemszczę się na Julianie...
 (z płaczem)
 I będę szczęśliwą!...
 Niech Zdzisław przyjdzie prędzej. Powiem mu żem
 Wyjść za niego, że kocham go... [rada
 (Dalszy ciąg nastąpi).